Ludwik Jerzy Kern

RAZ NA SPACERZE...

Raz na spacerze, mimochodem,
Pan Brud się spotkał z panem Smrodem.

Pan Smród ramiona rozwarł swe:
— Ach, jak mi miło, panie B!

Pan Brud miał oczy pełne łez:
— Ach, jak się cieszę, panie S!

I poszli razem naszym krajem,
Komplementując się nawzajem.

Pan Smród:
— Dla mnie, kolego, to, co cudne,
Musi być przede wszystkim brudne.
Pan Brud:
Dla mnie zaś, śmiem to głośno stwierdzić,
To bywa cudne, co mi śmierdzi!
Obaj:
— A już największym w świecie cudem
Jest mieszanina smrodu z brudem!!!
Pan Smród;
— Wie pan, kolego, dla mnie czystość
To bujda z chrzanem, mrzonka, mglistość...
Pan Brud:
— A dla mnie znowu, proszę pana,
To rzecz zupełnie niesłychana...
Obaj:
— Bo przecież można umrzeć z nudów,
Gdy brak jest smrodu albo brudu!!!
Pan Smród:
— Na szczęście tu, dziękować Bozi,
Ta klęska jeszcze nam nie grozi...
Pan Brud:
— I nie tak prędko, mam nadzieję,
Wszystko dokoła oczyścieje...
Obaj:
— My mamy wszędzie naszych ludzi,
Połowa smrodzi, reszta brudzi.
Pan Smród:
— Nie spoczywajmy przeto, chodźmy,
Zabrudźmy wszystko i zasmrodźmy!
Pan Brud:
— Chodźmy, kolego, i się trudźmy,
Zasmrodźmy wszystko i zabrudźmy!
Obaj:
— Spełniajmy dalej zbożny trud!
Pan Smród:
— Niech żyje Brud!
Pan Brud:
— Niech żyje Smród!

DZIŚ NA STRONIE CZWARTEJ **PRANIE!**

CZWARTEK Nr 114 87-09-24 Cena 15 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Przyleciał i do nas!

Na świecie ludzie specjalnie przychodzą na lotniska, by go obejrzeć. I my mamy taką okazję — napisało „Życie Warszawy" w środę 2 września. I rzeczywiście — tysiące warszawiaków z tej okazji skorzystało. Prowadząca na lotnisko aleja Żwirki i Wigury była przez kilka godzin kompletnie zapchana, a i na Trasie Łazienkowsiej w rejonie ul. Wawelskiej i pomnika Lotnika tworzyły się korki (w samym środku dnia pracy! — ten i ów kiwał głową, jakby jego właśnie to nie dotyczyło...) Nasza jazda z Marszałkowskiej na Okęcie trwała ponad godzinę! Nie udało nam się sfotografować „Concorde" w locie podczas wykonywania „rundy" nad lotniskiem, podobny los spotkał też ekipę „Teleexpressu" — utknęli w tłoku i nie zdążyli.

Dumny ze swej maszyny kapitan British Airways (Brytyjskich Linii Lotniczych) John Butterley specjalnie zaparkował na wprost tarasu widokowego, żeby wszyscy chętni mogli podziwiać jej piękną białą sylwetkę z charakterystycznym spiczastym dziobem. Można było także porównać proporcje długości „zwyczajnych" odrzutowców, które podczas kołowania przesuwały się w pobliżu.

„Concorde" (po francusku „Zgoda") w ciągu 43 minut przywiózł z Londynu do Warszawy grupę turystów oraz przedstawicieli brytyjskich biur podróży — i po trzech godzinach odfrunął.

Ten cud techniki lotniczej — dwukrotnie szybszy od dźwięku i wyprzedzający... czas — kursuje od 1969 roku. Powstał w wyniku porozumienia podpisanego przed 25 laty między przemysłami lotniczymi Francji i Wielkiej Brytanii. Celem porozumienia i współpracy było skonstruowanie najszybszego samolotu na trasach transatlantyckich. Lecąc nad oceanem lub morzem „Concorde" przekracza barierę dźwięku (co jest dozwolone tylko nad obszarem niezabudowanym). Maksymalna prędkość osiągana dzięki czterem turboodrzutowym silnikom „Olympus" wynosi... 2380 km na godzinę.

Na przebycie odległości z Londynu do Nowego Yorku „Concorde" potrzebuje zaledwie 3 godzin 45 minut, a gdy ląduje za oceanem, jest tam wówczas godzina wcześniejsza niż godzina startu. Na pokład zabiera tylko stu pasażerów, którzy siedząc w skórzanych fotelach mają poczucie pełnego komfortu. Mimo bardzo drogiej eksploatacji (choćby z powodu ogromnego zużycia paliwa) „Concorde" jest luksusem w pełni opłacalnym dla właściciela i pożądanym przez pasażerów. Nigdy nie brakuje chętnych do wydania tych 1700 funtów za bilet.

Konstrukcja „Concorde'" jest dość „stara" — bądź co bądź kilkunastoletnia — a przecież ten jedyny na świecie pasażerski samolot ponaddźwiękowy pozostaje wciąż najszybszym i najnowocześniejszym. Wykorzystano w nim same pionierskie rozwiązania, które przyczyniły się do rozwoju wiedzy lotniczej. Zastosowano w nim specjalny stop aluminium i tytanu, płaty typu „delta", na pokładzie jest komputer analizujący warunki lotu i czynności pilota, ponadto podczas lotu możliwa jest zmiana środka ciężkości (dziób lądującego lub startującego samolotu unosi się do góry) oraz zmiana geometrii wlotów powietrza.

Warto jeszcze dodać, że latający w barwach Air France i British Airways „Concorde'" jest jedynym samolotem, z którego pokładu można przy dobrej widoczności dostrzec krzywiznę powierzchni Ziemi — osiąga on bowiem wysokość 20 kilometrów.

(gr)

Fot. CAF i P. Bukowski

Że ornitolodzy starają się za wszelką cenę zajrzeć do ptasich mieszkań — gniazd, dziupli, noclegowisk — wiadomo. Ale o tym, żeby ptaki ciągnęło do mieszkań ornitologów — nic nie słychać... Wprost przeciwnie, skrzydlaci raczej unikają badaczy swego życia jak diabeł święconej wody, zauważając łatwo zbyt wielkie zainteresowanie z ich strony.

Tym razem jednak ptak zawędrował do mieszkania ornitologa. I to jakże znanego naszym klubowiczom! Samego doc. Macieja Luniaka, współzałożyciela, wieloletniego opiekuna i autora Klubu Ptakolubów. Od razu wyjaśnijmy, że nie chodzi tu o jakiegoś ptaka osiedlonego w domu dla celów badawczych. Chodzi o podlota, który wypadł z gniazda i którego pewna pani oddała pod opiekę docenta. Nie jest to też przedstawiciel żadnego rewelacyjnego gatunku.

Zwyczajny wróbel!

Jeżeli piszę „zwyczajny" to tylko w sensie zwyczajności i pospolitości gatunku. Wróble w ogóle są ptakami bardzo ciekawymi. Ale ten przyhołubiony młodzik okazał się ciekawy pod wieloma względami, wykazując zachowania, których raczej nie spodziewalibyśmy się po „normalnych", podwórkowych wróblach. Przynajmniej — w pierwszej chwili...

Kiedy zajrzałem, chcąc poznać niezwykłego gościa, do mieszkania państwa Luniaków, pani Anna — żona docenta wraz z córką Magdą przywitały mnie okrzykami: o tam, tam! Za nic jednak nie mogłem w pierwszej chwili dostrzec pierzastego domownika. Może zdezorientowały mnie podmuchy, przeciągające się to tu, to tam. Czyżby w tym mieszkaniu panowały aż takie przeciągi? Po chwili poczułem szereg rytmicznych ukłuć w plecy. Obejrzawszy się, wreszcie zrozumiałem... To nasz wróbel, potraktowawszy mnie jak drzewo czy krzak, usiadł beztrosko na mych plecach: znakomicie utrzymywał tu równowagę.

Oto pierwszy powód do zdziwienia. Wróble są z natury nieufne wobec ludzi. A

DOKOŃCZENIE NA STR. 6

— Nic mi to nie mówi — profesorka od niemieckiego ze smutkiem pokręciła głową. Pionierrepublik „Wilhelm Pieck"? Nie wiem, naprawdę.

Złożyłam wtedy reklamową książeczkę o międzynarodowym obozie w NRD, gdzie spędzę miesiąc wakacji. Pojadę tam wraz ze zdobywcami II miejsca w konkursie „Spod znaku służby przyjaźni" — I Drużyną Harcerską im. Janka Krasickiego z Kaszczoru.

MIASTECZKO SZEŚĆDZIESIĘCIU NARODOWOŚCI

Droga wiedzie przez las. Las, pole, pole, las, domy i znowu las. „Altenhof — 2 km", informuje drogowskaz na skrzyżowaniu dróg.

— E, pobudka! Już jesteśmy! — Beata szarpie mnie za ramię. Zgrzyt odsuwanej bramy. Witamy w Pionierrepublik „W. Pieck"!

— Polen? Polen? — pytają stojące przy autokarze dziewczęta. Wnosimy po schodach nasze bagaże. Pokoje, łazienka, tu świetlica, sala telewizyjna, stołówka. Poznajemy naszych niemieckich opiekunów: Andreę i Winniego, a także tłumaczkę — Petrę, studiującą w Warszawie informatykę. Jeszcze zapoznanie z regulaminem, badania lekarskie. Nareszcie.

Nie wszędzie jest spokojnie

Wiele tu dla nas rzeczy nowych, ciekawych. Intrygują egzotyczni współmieszkańcy „szóstki" (taki numer nosi nasz budynek). Już zawiązują się pierwsze przyjaźnie. Powoli też zapełniane są gazetki — wizytówki każdej z mieszkających tu delegacji. Finlandia, NRD, Liban — pod białymi nagłówkami, na granatowym tle — plakietki, pocztówki, mapy, proporczyki, plakaty.

Wciąga nas atmosfera tego obozu. Swobodnie odpowiadamy na rzucane „Freundschaft!" czy „Hallo!", rozpoznajemy barwne flagi ponad 60 państw, których przedstawiciele znajdują się w obozie. Nasz dom — Haus 6 — to jeden z dwunastu budynków mieszkalnych miasteczka i jeden z trzech tworzących nasz jakby podobóz „Freundschaft".

Rano, o dziewiątej — apel mieszkańców szóstki, prowadzony przez pionierów niemieckich. To do nich należy przecież republika, oni są gospodarzami. Sandra lub Jacqueline przyjmują meldunek i odczytują wiadomości ze świata. Całkowita cisza zapada, gdy dziewczęta przechodzą do wiadomości z Bliskiego Wschodu. Nie trzeba tłumacza, wystarczy spojrzeć na twarze naszych Palestyńczyków czy Libańczyków, by domyśleć się, że nic dobrego tym razem prasa nie przyniosła. Pamiętajmy — nie wszędzie jest pokój, choć tu w republice, trudno w to uwierzyć.

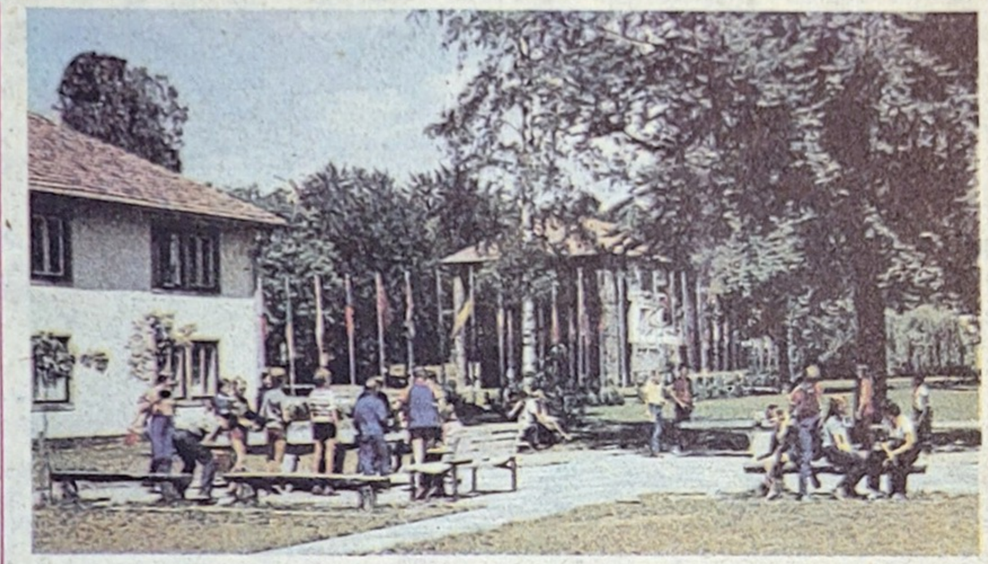

Rok jubileuszów

Dziś festyn, uroczyste rozpoczęcie obozu. W letnim amfiteatrze zajmujemy miejsca. Wokół różnojęzyczny gwar.

Na scenie orkiestra dęta, jak się później okaże towarzysząca nam we wszystkich uroczystościach. Wśród obcych tonów łowimy nagle uchem śląską piosenkę „Poszła Karolinka". Rozśpiewały, rozkołysały się dwa rzędy szarych i zielonych mundurów. Chór młodzieży z FDJ intonuje teraz „Frieden, Freundschaft, Solidarität", piosenkę śpiewaną na każdym apelu, coś w rodzaju hymnu obozu.

Do Pionierrepublik trafiliśmy w iście jubileuszowym roku. W 1987 r. zbiegły się bowiem aż trzy jubileusze: 35-lecie powstania republiki, 30. obóz międzynarodowy i 15. wycieczka do Schwedt — stała pozycja w programie obozu.

Teraz na scenie, krótkie przedstawienie historii miasteczka. Po drugiej wojnie światowej, w roku 1950 rozpoczęto budowę ośrodka pionierskiego, podobnego do Arteku. Wybrano tereny pełne jezior, lasów. W 1952 r. nad jeziorem Werbellinsee stanął obóz pionierski. Na uroczystości otwarcia honorowym gościem był i prezydent NRD Wilhelm Pieck. Jego postać, tu w republice, otaczana jest szacunkiem i sympatią. Rysuje się on jako człowiek o wielkim sercu, otwartym zwłaszcza dla dzieci. Na placu apelowym stoi pomnik prezydenta. Tu odbywają się wszystkie uroczyste apele, tu wiszą flagi wszystkich delegacji.

Miasteczko pionierskie nazwane imieniem Wilhelma Piecka już od 30 lat przyjmuje gości z całego świata. Młodzież FDJ zaprasza do obozu rówieśników z organizacji zrzeszonych w CIMEA.

Jeśli ktoś pomyśli, że można się tu nudzić, grubo się myli!

Każdy znajdzie coś dla siebie

Jest do dyspozycji olbrzymia, pięknie wyposażona sala gimnastyczna, Dom Pioniera — gdzie można się bawić, majsterkować, poznawać tajniki gier komputerowych. Dla amatorów traperskiego życia — baza turystyczna, z namiotami, kuchnią polową, położona około 1 km od budynków, nad samym brzegiem jeziora. A jezioro! Marzenie! Trampoliny, wypożyczalnia kajaków i łodzi, a nade wszystko: czysta woda!

Nie, nie. Cały czas nie będziemy się tu tylko bawić. W małych warsztacikach produkujących złącza i gniazdka elektryczne każda delegacja pracuje co najmniej raz. Zysk z tej pracy oddawany jest na fundusz solidarności między narodami. Do naszych obowiązków należy także dbanie o czystość wokół budynków.

Podczas roku szkolnego władzę w swoje ręce przejmują w republice pionierzy. Przyjeżdżają tu na szkolenia przygotowujące do pełnienia funkcji w organizacji. A życie tutaj, w czasie roku szkolnego, to już nie taka sielanka jak w lipcu i sierpniu. Kandydaci na szefów chodzą więc do pięknej, wspaniale wyposażonej szkoły, lśniącej luksusem i czystością, aż dech zapiera.

Ale mamy wakacje i nie pora wspominać o szkole. Hasło naszego obozu tworzą słowa: Pokój, Przyjaźń, Solidarność. Dzieci z całego świata przyjeżdżają tu nie tylko po to, by wypocząć i bawić się, ale nade wszystko, by nawiązać wiele przyjaźni. By istniała solidarność między państwami, musi istnieć solidarność jednostek. Ten obóz to dla uczestników miesięczna

Lekcja życia

Życia w grupie, koleżeństwa, polityki i geografii.

Spadły drobne krople deszczu. Uwaga, teraz wprowadzenie na scenę flag wszystkich państw, których przedstawiciele przebywają w Pionierrepublik. Sunie barwny korowód prowadzony przez chłopca z Afganistanu. Obca, ciekawa muzyka wciąga i cieszy. Puchną dłonie od gromkich oklasków jakimi nagradzamy śpiewaków i tancerzy z różnych kontynentów. Nagle amfiteatr milknie. Cichną gwizdy i okrzyki. Na scenie czworo dzieci w białych bluzach z czarno-czerwonymi chustami.

— Pieśń dzieci Sandino, Nikaraguańczyków — objaśnia konferansjerka — mówi o ich miłości do Ojczyzny, o patriotyzmie i o stałej gotowości ponoszenia dla niej ofiar...

Płyną niezrozumiałe dla nas słowa. Wzruszenie, drżące głosy i powaga śpiewaków. Gitara brzmi jakoś ostrożnie, by nie drażnić, nie przeszkodzić. Nagle — zmiana tempa. Pieśń przybiera na sile, zmienia się wygląd wykonawców. To już nie te przestraszone dzieci, to żołnierze gotowi do walki pełnej poświęceń i wiary w zwycięstwo.

Niełaskawe dotąd słońce wychodzi zza chmur i złotym blaskiem zalewa scenę i widownię.

— Frieden, Freundschaft, Solidarität!

— Mir, Drużba, Solidarnost!

Z głośników płyną słowa wypowiadane w każdym języku przez dzieci z sześciu kontynentów stojące w długim łańcuchu.

— Pokój, Przyjaźń, Solidarność! — Karolina wypuszcza w niebo szarego gołąbka. Lecą w górę ptaki i kolorowe balony.

Kasia Morawiec
korespondentka HSI „ŚM"
Janów Częstochowski

REDAKCYJNA POCZTA

Miłość platoniczna (plakatowa)

Piszę w sprawie listu „Piggy" — „Czy wiesz co to jest miłość?" (nr 97 „Świata Młodych").

„Piggy", nie zgadzam się zupełnie z Twoją wypowiedzią. Czy naprawdę nigdy nie słyszałaś o czymś takim jak miłość platoniczna? Przecież ta dziewczyna kocha go za wygląd, głos, uczesanie, sposób poruszania się, charakter muzyki, którą wykonuje, może nawet za teksty piosenek. Ty piszesz o miłości zupełnie innej. Przemyśl to jeszcze raz.

Ja wierzę w miłość platoniczną. Sama tak kocham Europe. Moja miłość jest ze strefy pragnień. Myślę, iż miłość jest pojęciem dużo szerszym i tylko specyficzna jej odmiana może być uczuciem do idola. Dzięki płytom, teledyskom i kasetom możemy słuchać ich głosu w nieskończoność, co więcej możemy marzyć, że kiedyś, gdzieś przez przypadek, jak w cudownej bajce spotkamy się z nimi. Pozwól wszystkim marzyć i wierzyć w plakatową miłość, która jest jak wiele innych — realna.

Dorota

To po co dajesz odpisywać?

Tino! Szczerze mówiąc nie zgadzam się z Twoją opinią. Piszesz (w nr. 70 „ŚM"), że nie lubisz dawać odpisywać zadań leniuchom, to po co dajesz? A swoją drogą, czy chciałabyś znaleźć się kiedyś w sytuacji, kiedy to Ty będziesz potrzebująca, a inni odwrócą się od Ciebie plecami i powiedzą „NIE"? Pomyśl, jakie by to było przykre!

Alina

W klasie powinna istnieć życzliwość...

List Tiny (nr 70 „ŚM") zdenerwował mnie, nie dlatego że „nie chce pomagać leniuchom", lecz z powodu postawy jaką w nim zaprezentowała. Osobiście uważam, że nie powinno się spisywać zadań domowych. Nie dlatego jednak, że wyzyskuje się drugą osobę, która przecież i tak by to zadanie musiała odrobić. Tak postępując szkodzimy sami sobie. Praca domowa służy do utrwalania materiału i lepszego zrozumienia lekcji (wykluczam oczywiście te, które są zadawane przez nauczyciela tylko po to, by uczniowie nie mieli przypadkiem za dużo czasu). Leniuchy więc prawie nic nie zyskują, za to dużo tracą, gdyż nawet uczniowie bardzo zdolni nie osiągną dobrych wyników w nauce bez choćby niewielkiego wkładu pracy.

W wypowiedzi Tiny nie podoba mi się natomiast niechętny czy nawet wrogi stosunek do koleżanek. Przecież są z Waszej klasy, a to powinno łączyć; nie jest także zbrodnią chodzenie do kina, a że odbija się to na nauce, to już osobista sprawa tych dziewczyn.

Agata z Wrocławia

ŚPIEWNIK ŚWIATA „MŁODYCH"

Słowa: **A. Rymkiewicz**
Muzyka: **Wł. Szpilman**

Ten, kto nie pragnął być na zbiórce
Nie maszerował nigdy w czwórce
Śpiewem nie witał dni pogody,
Ten chyba nigdy nie był młody.
Ref. Hej, buty, buty, buty me,
Nie straszne błoto i kurzawa
Hej, nogi, nogi, nogi dwie
Na zmianę noga lewa, prawa
Hej, czapka, bluza, plecak, pas,
Harcerską chustę włóż na szyję
I leci śpiew szeroki nasz,
I rytmem marsza serca biją.
Ten, kto się boi spać w namiocie,
Słońca się boi i wilgoci,
Lęka się lasu po kryjomu,
Niech taki lepiej siedzi w domu.
Ref. Hej, buty, buty...
Kto jest odważny i wytrwały,
Zdrowy i silny, chociaż mały.
Młodszym pomaga i nie kłamie.
Niechaj taki dzisiaj rusza z nami.
Ref. Hej, buty, buty...

HEJ, BUTY ME

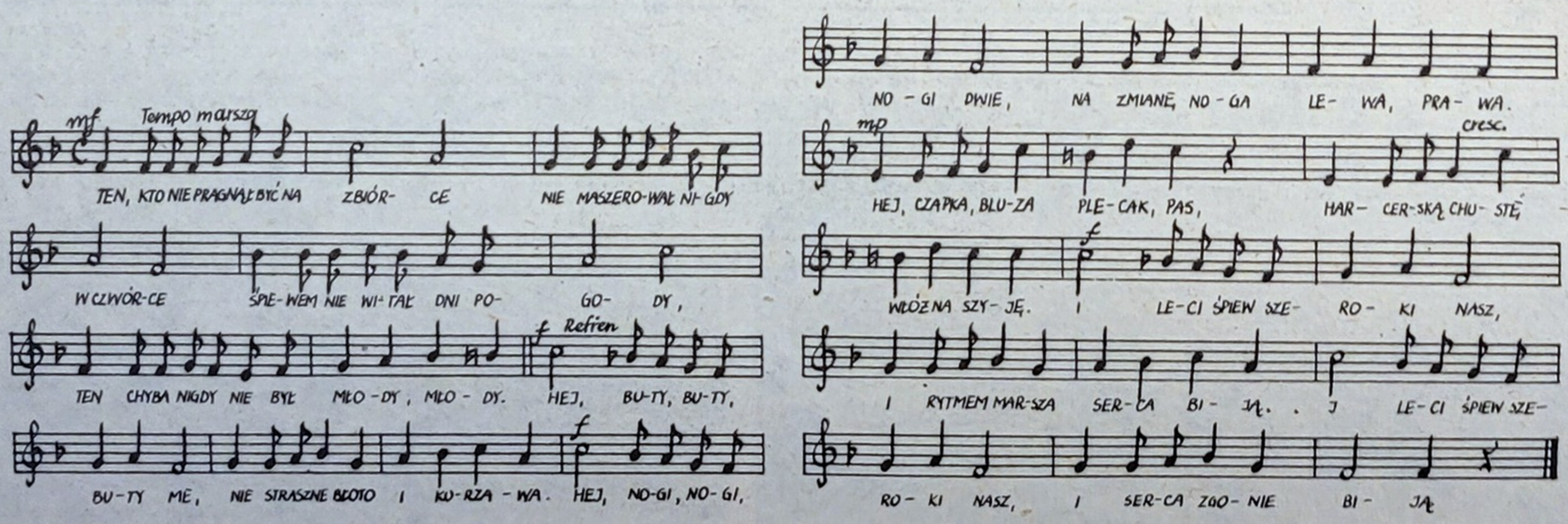

DRUGIE PODEJŚCIE

Czy Gorbaczowowi się uda? To jedno z pytań najczęściej stawianych przedstawicielom radzieckich władz przez dziennikarzy zagranicznych. Jak niedawno powiedział Siergiej Gierasimow, rzecznik prasowy Ministerstwa Spraw Zagranicznych ZSRR, zastanawiają się nad tym przede wszystkim miliony ludzi w samym Związku Radzieckim. I nic w tym dziwnego. Kierunek i tempo *pierestrojki*, czyli wielkiej przebudowy gospodarczej Kraju Rad, wpłynie przecież na życie naszych wschodnich sąsiadów w najbliższych latach.

Na czym polega *pierestrojka*? Przede wszystkim pamiętać należy, iż za pomocą tego terminu (oznacza on dosłownie przebudowę, ale tak właśnie w oryginalnej formie używają go dziennikarze i politycy na całym świecie) określa się zasadnicze zmiany w funkcjonowaniu gospodarki radzieckiej. Natomiast nowy charakter polityki wewnętrznej kryje się pod terminem *głasnost* — jawność. Oznacza to, że w życiu społecznym, politycznym, kulturalnym ZSRR możliwa jest większa niż poprzednio otwartość i szczerość wypowiedzi, znikają powoli obszary tabu, krytycznie mówi się o przeszłości, coraz częściej usłyszeć można różnorodne, dyskusyjne opinie, a nawet dopuszcza się krytykę sposobów sprawowania władzy.

Choć *pierestrojka* i *głasnost* to dwa różne pojęcia, oczywiste jest, że jedno bez drugiego nie może istnieć. O ile jednak przemiany obyczajów politycznych czy dziennikarskich są wprost rewolucyjne i już dzisiaj widoczne, o tyle przebudowa gospodarki ZSRR jest jeszcze w powijakach. Trwają dopiero ożywione dyskusje nad kierunkami reform, które należałoby wprowadzić, dochodzi do pierwszych, jeszcze nieśmiałych prób zmiany dotychczasowego sposobu zarządzania gospodarką.

Ta ostrożność jest zrozumiała. Centralnie sterowane: przemysł, budownictwo, rolnictwo i inne dziedziny gospodarki radzieckiej to kolosy organizacyjne nie mające sobie równych na świecie. Równie wielka jest jednak także ich ociężałość, zbiurokratyzowanie, a także marnotrawstwo surowców i energii... Praktycznie rzecz biorąc każda decyzja musi zapaść w Moskwie. Przypomina o tym np. pieczątka Ministerstwa Rolnictwa, która do niedawna widniała na każdym słoiku dżemu, również każda widokówka firmowana była przez odpowiedni resort. Zmiany są konieczne, lecz nie przemyślane, nerwowe działania mogłyby — zamiast spodziewanych pożytków — przynieść niepowetowane straty. Działania Gorbaczowa i jego ekipy mają więc na celu nie zmiany dla samych zmian, lecz zdynamizowanie gospodarki, unowocześnienie jej, a w efekcie podniesienie stopy życiowej mieszkańców Związku Radzieckiego.

W jakim kierunku przebiegać będą działania reformatorskie? Skąd czerpane będą wzory? Nie jest tajemnicą, że radzieccy działacze gospodarczy od wielu lat z uwagą śledzili wszystko co w interesujących ich dziedzinach działo się w Polsce i na Węgrzech — dwóch krajach socjalistycznych, w których próby nowego kierowania gospodarką wprowadzano najwcześniej. Ale w ZSRR — i to jest sytuacja bez precedensu — można także nawiązywać do własnej historii gospodarczej. Najkrócej mówiąc chodzi tu o doświadczenie tzw. NEP-u czyli Nowej Polityki Ekonomicznej, wprowadzonej w 1921 r. na mocy uchwały X Zjazdu rosyjskich bolszewików.

Zadaniem NEP-u było wyprowadzenie Rosji Radzieckiej z katastrofalnej sytuacji gospodarczej, w jakiej znalazła się na skutek I wojny światowej, wojny domowej, a także w wyniku wprowadzenia tzw. komunizmu wojennego. Nazwy tej używa się na określenie sposobu zarządzania państwem stosowanego w latach 1918–1920. Polegał on na pełnej i całkowitej centralizacji podziału i wymiany wszelkich dóbr. Obowiązywał więc zakaz prywatnego handlu w jakiejkolwiek postaci, wprowadzono państwowy monopol zbożowy, wymiana między miastem a wsią odbywała się z pominięciem rynku i bardziej przypominała rekwizycję niż działalność handlową. Wszyscy obywatele podlegali powszechnemu obowiązkowi pracy, a żywność była ściśle reglamentowana. Trzeba jeszcze dodać, iż na straży niezwykle surowych przepisów i zarządzeń stał uzbrojony czerwonoarmista.

NEP, który uznał rynek za ważny element gospodarki, ograniczył również obłędny centralizm komunizmu wojennego i dopuścił niewielką prywatną działalność handlową i produkcyjną, co pozwoliło na likwidację w szybkim tempie najdotkliwszych niedoborów żywności i towarów przemysłowych. Nowa Polityka Ekonomiczna realizowana była w myśl wskazań i instrukcji Lenina. Zaraz jednak po jego śmierci w 1924 r. nowy przywódca partii i państwa radzieckiego, Józef Stalin, doprowadził do zmiany zasad obowiązujących w kierowaniu gospodarką. Prywatną przedsiębiorczość uznano za nie do pogodzenia z socjalistycznym charakterem ZSRR, a w 1927 r. nakreślono plan kolektywizacji rolnictwa i „likwidacji kułactwa jako klasy". Niestety, dla wielu chłopów oznaczało to zsyłkę, wywózki na Syberię, a niekiedy i śmierć. Stalin wprowadził także niezmiernie scentralizowane i zbiurokratyzowane zarządzanie gospodarką. Było to bardzo drogie i nieefektywne w sensie ekonomicznym rozwiązanie.

Pierestrojka jest więc swoistym powrotem do leninowskiej myśli gospodarczej, drugim podejściem do dzieła reformowania gospodarki, oczywiście w zupełnie innych warunkach. Przewiduje się znaczne zwiększenie samodzielności zakładów i przedsiębiorstw, system wynagradzania premiować ma fachowość i pracowitość, dopuszczona ma być także indywidualna przedsiębiorczość zwłaszcza w handlu i usługach. W Wilnie i w Moskwie już pojawiły się np. pierwsze ajencyjne kawiarnie i restauracje. Rozszerzono — i to znacznie — możliwości uprawy ziemi poza systemem kołchozów i sowchozów, jak również prywatnej hodowli trzody chlewnej, drobiu oraz uprawy warzyw. Nowe regulacje prawne dopuszczają również po raz pierwszy możliwość powstania tzw. *joint ventures*, czyli wspólnych przedsiębiorstw z udziałem kapitału państw zachodnich. Rynek radziecki — tak pod względem możliwości sprzedaży na nim różnorodnych artykułów, jak i jako źródło np. surowców — jest niezwykle atrakcyjny. Nic więc dziwnego, że możliwości wejścia nań pilnie studiują biznesmeni z wielu krajów, przede wszystkim z Japonii, Republiki Federalnej Niemiec i USA.

Pierestrojka jest epokowym zadaniem. Od tego, jaki będzie bilans jej sukcesów i niepowodzeń, zależy — bez przesady — los atrakcyjności socjalizmu jako ustroju. Nic więc dziwnego, że cały świat pilnie śledzi przemiany w ZSRR. My — trzymamy kciuki.

MICHAŁ MALICKI

O zdrowym żywieniu pisze lekarz z Tarnowa

JESIEŃ

Jest to czas tradycyjnego gromadzenia zapasów. W spiżarni, a nie w organizmie pod postacią tkanki tłuszczowej! O tym trzeba pamiętać już od najmłodszych lat życia. Otyłość — to wróg nr 1 współczesnego człowieka!

Wróciliście z wakacji. Rozpoczęliście naukę w szkołach. Przybyło codziennych obowiązków. Więcej czasu spędzacie teraz w pozycji siedzącej nad książką, w przeciwieństwie do wakacji, kiedy przeważał wysiłek fizyczny. Mieliście wówczas o wiele więcej okazji do spalania tkanki tłuszczowej. Nie wracajcie więc do starych nawyków żywieniowych, teraz macie nieco większą szansę do wyzbycia się przedwakacyjnych przyzwyczajeń: zjadania słodyczy, tłustych i mącznych potraw...

W okresie jesiennym jest zawsze duża możliwość korzystania w codziennym jadłospisie z szerokiego wyboru różnorodnych warzyw i owoców. Dostarczają one wprost bezcennych wartości odżywczych, takich jak witaminy i składniki mineralne oraz są bogatym źródłem błonnika. Czy wiecie, że rezygnując codziennie przez miesiąc z ciastka z kremem lub porcji kremu, a zamiast tego spożywając porcję owoców lub warzyw (najzwyczajniejsze pomidory, ogórki itp.) macie szansę stracić w tym czasie ponad 1,5 kg niepotrzebnej tkanki tłuszczowej? Warto, aby sobie to wzięli do serca Ci, którzy noszą ze sobą te zbędne kilogramy.

Owoce są najsmaczniejsze na surowo — po dokładnym opłukaniu — bez dodatku cukru. Warzywa proponuję również spożywać w miarę możliwości w formie surowej — jako sałatki z dodatkiem oleju roślinnego (sojowy, kukurydziany lub słonecznikowy) i przypraw ziołowych. Spożywajcie też więcej serów białych, ale uwaga! — chudych. Przypominam również o pieczywie razowym, które należy jeść przez okrągły rok.

W jesieni Wasi Rodzice — mam nadzieję przy Waszej pomocy — zgromadzą zapasy w postaci przetworów z owoców i warzyw, aby na stołach nie zabrakło witamin podczas nadchodzącej zimy i przedwiośnia. Napiszcie do mnie, jakie przetwory najbardziej lubicie. A może znacie ciekawe sposoby ich przyrządzania? Chętnie wydrukujemy Wasze przepisy!

JACEK ROIK

WIT-ek • WIT-ek • WIT-ek

WIT-ek zawstydzony przez Agnieszkę (*dlaczego się nie podpisałaś, Agnieszko*) zawiadamia, że w nr. 102 (27.VIII.) wydrukował list Sebastiana z Opoczna a w nim przepuścił BŁĄD!

Sebastian proponował zwiedzanie swojego rodzinnego regionu, w którym m.in. działał „Hubal" — mjr Henryk... Sucharski. A oczywiście „Hubal" to major, i Henryk ale **Dobrzański.**

Za nieuwagę WIT-ek przeprasza, Agnieszce dziękuje za uwagę!

BOA W ... SEDESIE

OTTAWA (PAP). Wąż z gatunku boa dusiciel może się wydawać zabawny na telewizyjnym ekranie, ale na pewno nie sprawił uciechy rodzinie Lamothe, mieszkającej w Hamilton, w kanadyjskiej prowincji Ontario.

Pewnego dnia Laurie Lamothe odchylając przykrycie deski sedesowej osłupiała, widząc spoglądającą na nią z miski klozetowej parę oczu węża boa.

Jak się okazało, mający dwa metry długości gad, będący ulubieńcem jednego z sąsiadów, uciekł właścicielowi poprzez sieć kanalizacyjną. Wąż był nie mniej zaskoczony widokiem lokatorki niż ona sama, dając wyraz zdziwieniu nerwowym przebieraniem języka.

O zagładzie mamutów

(PAP). Naukowcy radzieccy opracowali nową wersję hipotezy o zagładzie mamutów oraz ich rówieśników — wełniastych nosorożców i niedźwiedzi jaskiniowych. Hipoteza oparta jest na skłonności zwierząt do litofagii — lizania kamieni. Badania przeprowadzone przez naukowców z różnych rejonów kraju wykazały, że litofagia zapewniała regulację poziomu i równowagę soli mineralnych w organizmie tych zwierząt. Przemarzanie północnych ziem zaczęło się od razu na olbrzymich terytoriach, co znacznie zmniejszyło rejony występowania przydatnych do lizania kamieni. Mogły je wykopywać z gruntu jedynie zwierzęta z mocnymi kopytami — renifery i konie. Inne zwierzęta na skutek braku kamieni zawierających sole mineralne — skazane były na zagładę.

Mrówki-kanibale

(PAP). Międzynarodowa ekipa naukowców odkryła w Brazylii mrówki, które — jak się przypuszcza — są największymi na świecie spośród tysięcy innych gatunków.

Pierwszą sensacją jest właśnie ich wielkość. Mają od 10 do 15 cm długości. Natomiast drugą jest fakt, iż są to mrówki mięsożerne, a zarazem kanibale. Pożerają bowiem głównie inne gatunki mrówek, a gdy takich brakuje, atakują różne inne stworzenia.

KOLEKCJA ŚWIATA MŁODYCH

2 NAJWYŻSZE SZCZYTY ZIEMI

MOUNT EVEREST

(8848 m n.p.m.)

Na zdjęciu:
Południowo-zachodnia ściana Mount Everestu widziana z Lhotse. Z prawej w dole — Przełęcz Południowa

FIRMA W PRANIU

Przyjechałam tu jak prawie co roku w lecie. Tylko tym razem „służbowo" i „oficjalnie". Delegację wystawił mi WIT-ek: *Jedź! Sierpień, pełnia „Gałczyńskiego" lata na Mazurach, w „Świecie Młodych" i w różnych gazetach pełno „Gałczyńskich" cytatów. No i trzeba wreszcie przedstawić Firmę córce poety.*

Zabieram ze sobą wiersze korespondentów Firmy napisane z lata temu na konkurs pod hasłem „Spotkanie z Mistrzem Ildefonsem".

Złożywszy córce naszego Patrona uszanowanie, proszę o rozmowę o Nim, o ich Domu, o tym, co w nim było Najważniejsze.

Siadamy na dziedzińcu przed leśniczówką, na jednej z ławek półkolem otaczających niewielki podest, na którym przed pół godziną odbywał się kameralny koncert „Muzyka u Gałczyńskiego". Jest niedziela, ciepło, południe. Po koncercie w muzeum tłok. Zwiedzający wysypują się grupkami, spacerują, schodzą nad jezioro. Niektórzy przysiadają w pobliżu. Słuchają.

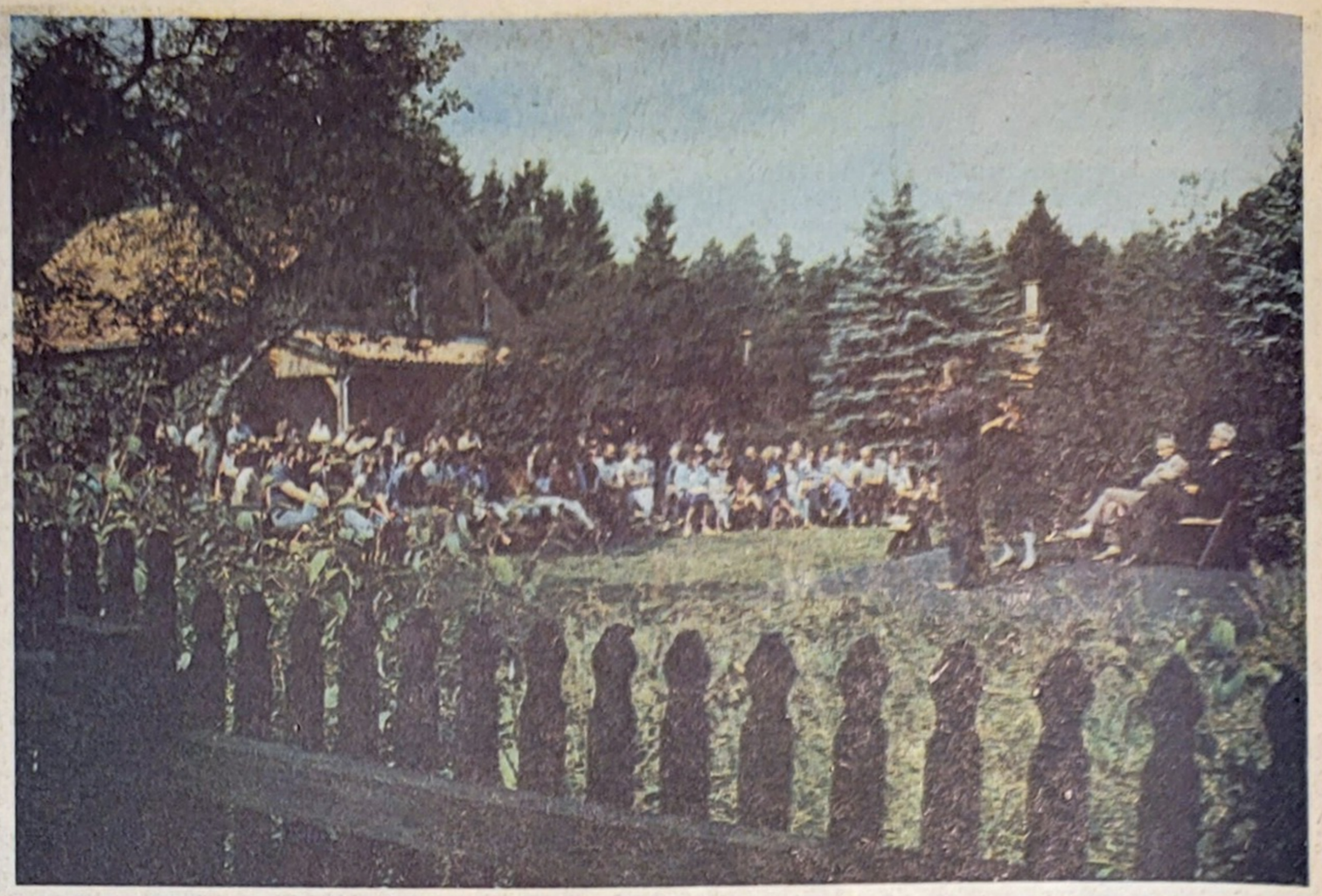

Miałam szczęście urodzić się w domu szczęśliwym, radosnym. Dom był dla Ojca czymś najważniejszym, może dlatego, że jego dzieciństwo było smutne, jego dom rodzinny ponury, a rodzice swarliwi. Życie rodzinne stawiał zawsze na pierwszym miejscu, przed własną pracą. Pracował wcześnie rano, aby nie zakłócać porządku dnia, aby nikt nie musiał chodzić na palcach ani wstrzymywać oddechu — bo „on tworzy". Budził mnie do szkoły, a że lubił robić żarty... *Co chcesz na śniadanie?* — pytał. — *Mogą być jajka na boczku?* — i przynosił kawałek boczku z dwoma surowymi jajkami, oczywiście w skorupkach. Trudno było po czymś takim wstawać kwaśno.

Pora obiadu była święta. O godzinie 14, po szkole, wszyscy zbieraliśmy się przy stole w kuchni. Zawsze. Gdy sama wychowywałam swojego syna już z „kluczem na szyi" i kartką, że „w lodówce jest zupa", myślałam ze zgrozą o ojcu, który gdzieś tam w górze musiał ciskać na mnie gromy.

Dom był stale pełen ludzi. Ojciec nie znosił kawiarni. „Kawę pije się w domu" — mawiał. Miał niezawodny sposób parzenia dobrej kawy: trzeba jej dużo sypać. Zbierał różne ekspresy i maszynki do kawy, ale do parzenia używał zwykłego garnka, do ekspresu nie miał jakoś zaufania. Wieczorem zebranym gościom i domownikom czytał to, co napisał rano.

Jego pierwszym krytykiem była zawsze Matka. Liczył się z jej zdaniem, miał zaufanie do jej słuchu poetyckiego. Ona była też „szefem" domu. Umiała sobie poradzić z niedostatkiem, zarabiając tłumaczeniami z literatury rosyjskiej. Jej życie z nim było ciekawe, ale przecież niełatwe. Ojciec potrafił całe honorarium przeznaczyć na kwiaty dla niej — i na obiad już nie starczało. Albo czasami w nocy zjadał wszystkie zapasy ze spiżarni. Miewał też chwile załamań, depresji. Matka znosiła to z pogodą ducha, bo w zamian otrzymywała cudowną rekompensatę w postaci wiersza, niepowtarzalnego nastroju, który potrafił stworzyć. Oboje uważali, że człowiek klinicznie normalny, bez wyskoków, jest nudny. W naszym domu nudno nie było. Czasem nie było z czego zrobić zupy, ale był to dom, w którym się stale śmiano. Mój Ojciec uważał, że największym nieszczęściem Polaków jest brak śmiechu.

Gdy miałam 11–12 lat, zaczęłam pisać. Wierszyki lały się na zasadzie odkręconego kurka. Rymy niewyszukane: Breza-zeza. Czytałam głośno, wszyscy pokładali się ze śmiechu, co mnie bardzo dotykało. Ale Ojciec nauczył mnie śmiania się z samej siebie. Twierdził, że człowiek, który to potrafi, jest uzbrojony przeciwko wszystkiemu.

Jestem czasem proszona o opinię o wierszach. Mówię: pisze każdy, na szczęście większość z tego wyrasta. Inaczej świat byłby zaludniony Hermenegildami Kociubińskimi. Nigdy nie podejmuję się oceniać. Gdy pisanie jest dla kogoś ważne, to należy to robić. Jeżeli nie wyrośnie się na poetę, to przynajmniej na wrażliwego człowieka.

Ojciec traktował młodocianych poetów z pełną powagą. Uważnie pochylał się nad każdym wierszem moich koleżanek. Odpisywał na listy bardzo serio: *Koleżanko Zosiu, przeczytałem z dużym zainteresowaniem, ale warto byłoby poczytać takiego i takiego autora...* Nikogo nie lekceważył, nie wyśmiewał.

Pozbawiony był zawiści. Nigdy o żadnym poecie nie wyraził złej opinii.

Ja byłam traktowana jak osoba dorosła. Na najgłupsze pytania dostawałam zawsze odpowiedź starszego kolegi. Wszystkie moje zainteresowania — sztuką, muzyką, literaturą — zostały kiedyś podpowiedziane przez Ojca. Nie wywierał presji, akceptował moje wybory, najwyżej doradzał, umiał być mądrym przyjacielem. Jedyne, czego nie mógł zaakceptować, jak ojciec każdej pewnie dziewczyny-jedynaczki, to chłopców z mojego otoczenia. Nie znosił „tych kretynów", starał się ośmieszyć ich braki intelektualne, choć z wiekiem, gdy dojrzewałam, i dojrzalszych miewałam przyjaciół, było to coraz trudniejsze. To była jego słabość, czuł się zagrożony.

Nazywałam go Tatem, Kotem (Kotem był dla wszystkich przyjaciół), ale czasami zwracałam się do niego uroczyście — Ojcze. Był wtedy bardzo zadowolony i odpowiadał z żartobliwym namaszczeniem — Moja córko.

Całe życie był wierny zasadzie, że o wartości człowieka decyduje jego praca, to co po sobie się zostawia. Dobry but, smaczny chleb, ładny przedmiot. To była dewiza jego życia. Dlatego w ostatniej salce muzeum zdecydowaliśmy się umieścić na ścianie nie cytat z utworu poety, ale myśl pierwszego redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego", księdza Piwowarczyka: ***Pracujcie, cudów nie ma!*** Już przez to samo, że to słowa księdza, stają się subtelnym dowcipem, z gatunku jaki Ojciec lubił najbardziej, trochę przewrotnym, trochę metafizycznym, surrealistycznym, takim „Gałczyńskim" właśnie.

Kira Gałczyńska zdecydowała się przed siedmiu laty zostać kustoszem w muzeum swego ojca, w dawnej leśniczówce Pranie nad Jeziorem Nidzkim, półtorej godziny pieszej wędrówki niebieskim szlakiem od Rucianego-Nidy

*

To mój mąż namówił mnie, żebyśmy tu przyjechali i zostali. Pomysł zrodził się wówczas, gdy zaczęto w dawnej oborze obok leśniczówki szykować mieszkanie dla kogoś, kto będzie się zajmował muzeum. Początkowo protestowałam, aż nagle któregoś dnia obudziłam się pewna, że to jest to. Pomyślałam, że cała moja dotychczasowa praca dziennikarska nie ma żadnego znaczenia, nic z niej nie zostało. Teraz więc może zrobię coś, co się ludziom przyda, będzie miało sens.

Ludzie przyjeżdżają tu przez cały rok. Czasami mnie to męczy, bo... są różni. Niektórych trzeba uczyć elementarnych rzeczy, np. żeby nie skakali przez płoty. Są też wypadki losowe, np. odejdzie kasjerka i muszę ją zastąpić. Po ośmiu godzinach, gdy przez muzeum przewalają się tłumy, samej sobie przypominam już jakąś nawiedzoną jędzę... Ale nagle — przychodzi dziewczyna czy chłopak i zapyta o coś, albo powtarza z pamięci ulubiony wiersz, albo zostawia własny, napisany pod wpływem pobytu tutaj — i wtedy wszystkie złe dni stają się nieważne.

Nie wyobrażam sobie teraz, że mogłabym wrócić do Warszawy. Gdybym musiała — bardzo źle bym się czuła. Las uspokaja. Stąd widzi się w odpowiedniej skali wszystkie te pozornie wielkie, ważkie problemy...

*

Nie potrafię jednoznacznie odpowiedzieć, który wiersz Gałczyńskiego lubię najbardziej. To zależy od sytuacji, stanu ducha. Ale chyba „Spotkanie z matką". Ze względu na moją Matkę, panią Popowską* i Pranie.

* **Pani Popowska była matką leśniczego, u którego Gałczyńscy spędzali przedłużone mazurskie wakacje w latach 1950–53. Jej postać nakreśliła ciepło Kira Gałczyńska w swej książeczce pt. „Mazurskie szlaki Gałczyńskiego", wyd. PTTK „Kraj" 1986, nakład 20 tys. egz., cena 150,— zł.**

Najwyższy szczyt Ziemi leży w **Himalajach Centralnych** w rejonie **Khumbu Himal** na granicy Nepalu i chińskiego Tybetu. Od północy otoczony jest lodowcami: **Rongbuk Zachodni, Główny** i **Wschodni**, od wschodu spływa z jego stoków lodowiec **Kangchung** zaś od południa — lodowiec **Khumbu**. Używana obecnie nazwa pochodzi z okresu, kiedy dyrektor Survey of India — (instytucji dokonującej pomiarów topograficznych Himalajów) — sir Andrew Waugh zaproponował nadanie górze nazwy **Mount Everest** na cześć swojego poprzednika sir George'a Everesta, który zainicjował pomiary himalajskie. Mimo licznych sprzeciwów nazwa ta została oficjalnie przyjęta w 1856 roku i obowiązuje po dzień dzisiejszy. Równolegle stosuje się również tybetańską nazwę góry **Chomo-Lungma**, oznaczającej **Boginię-Matkę Kraju**; miano to obejmuje oprócz najwyższego szczytu Ziemi cały masyw, w skład którego wchodzą **Lhotse, Nuptse** i **Changtse**.

Historia zdobycia Mount Everestu sięga 1921 roku, kiedy to dwóch brytyjskich alpinistów — **G.H. Leigh-Mallory** i **G.H. Bullock** pod wodzą podpułkownika **C.K. Howard-Bury'ego** dotarło do **Przełęczy Południowej**. W następnych latach Brytyjczycy, Szwajcarzy i Chińczycy szukali możliwości wejścia na najwyższy szczyt Ziemi. Udało się to dopiero Nowozelandczykowi — **Edmundowi Percivalowi Hillary'emu** i Sherpie — **Tensingowi Norgay'emu** — uczestnikom wyprawy brytyjskiej kierowanej przez **Johna Hunta**, którzy drogą z lodowca Khumbu weszli na Przełęcz Południową, a następnie wspinając się południowo-wschodnią granią osiągnęli wierzchołek najwyższej góry Ziemi w dniu 29 maja 1953 roku.

Pierwszym Polakiem, a właściwie pierwszą Polką i zarazem pierwszą Europejką, która stanęła na szczycie Mount Everestu w dniu **16 października 1978 roku** (wchodząc ścianą południowo-wschodnią) była **Wanda Rutkiewicz**, uczestnicząca w RFN-owskiej wyprawie kierowanej przez **Karla-Marię Herrligkoffera.** 17 lutego 1980 roku **Leszek Cichy** i **Krzysztof Wielicki** uczestniczący w wyprawie kierowanej przez **Andrzeja Zawadę** dokonali pierwszego w dziejach zimowego wejścia na Mount Everest, natomiast **Jerzy Kukuczka** z **Andrzejem Czokiem** poprowadzili nową drogę z Kotła Zachodniego pomiędzy filarem południowym i południowo-wschodnią granią osiągając szczyt 19 maja 1980 roku.

20 sierpnia 1980 roku **Reinhold Messner** stanął na szczycie Mount Everestu po samotnym wejściu drogą od północy z **Chang La. (k.k)**

reprodukcja: Janusz Plewniak

Jeśli wklejasz serię do zeszytu — pokryj klejem tylko to miejsce

K.I. Gałczyński

Spotkanie z matką

(fragment)

Mała myszka przez ścieżkę przebiegła,
Drogę Mleczną nietoperz wymierzył.
I wiatr ucichł nagle. I zza węgła
z fajką srebrną w zębach wyszedł księżyc.

Rozświeciły się świeceniem wielkim
chmury, dziuple, żołędzie i sęki —
jakby cały świat był srebrnym świerkiem,
srebrnym bąkiem grającym piosenki

*

Niebo to jest małe miasteczko w niedzielę,
gwiazdy gapią się na ziemię z okien,
a wiadomo, że gwiazd jest wiele
i że wszystkie są niebieskookie.

A tam w rogu, w mieszkaniu z balkonem,
w jednym oknie, gdzie kwiat czerwony,
a to drugie okno z drugim kwiatem...

tam ty mieszkasz. I pogrzebaczem
fajerki przesuwasz. I płaczesz.
Bo tak długo czekasz mnie z obiadem.

Pani Kira składa autografy na przywiezionych przeze mnie książkach przeznaczonych na nagrody dla laureatów wakacyjnego konkursu poetyckiego „Jak bije serce przyrody". I na mojej własnej też. Z ławek dookoła zrywają się młodzi ludzie, dziękują za to, co usłyszeli, podsuwają kupione w muzeum książeczki — „Mazurskie szlaki Gałczyńskiego". Pod drzewem czeka na panią Kirę chłopak, który przywędrował tu z plecakiem, żeby zadać nurtujące go pytania. Podchodzę do furtki, za którą schodki zbiegają do jeziora. Goście odpływają żaglówkami. Na wąskim chodniku alejki kładzie się cień srebrnych świerków. Pani Kira na ławce pod drzewem snuje już następną opowieść. Cudów tu żadnych nie ma. Słońce świeci, ludzie się zamyślają. Złoty Szerszeń przelatuje przez werandę. Słyszę jak się śmieje.

Odwiedzajcie Pranie. Muzeum nie udaje mieszkania. Zgromadzono tu przedmioty, drobiazgi, sprzęty, zdjęcia, trochę dokumentów, trochę znaczących cytatów, które mogą się ułożyć w ciąg skojarzeń i biograficznych szczegółów, jeśli zwiedzający zada sobie trud. Wiecie, że cudów nie ma, są za to takie lekcje, które warto odrobić.

Wasza BRZĘCZYSŁAWA

P.S. Kto był w Praniu? Niech napisze. Na przykład wierszem...

Fot. Wojciech Wróblewski
i Paweł Bukowski

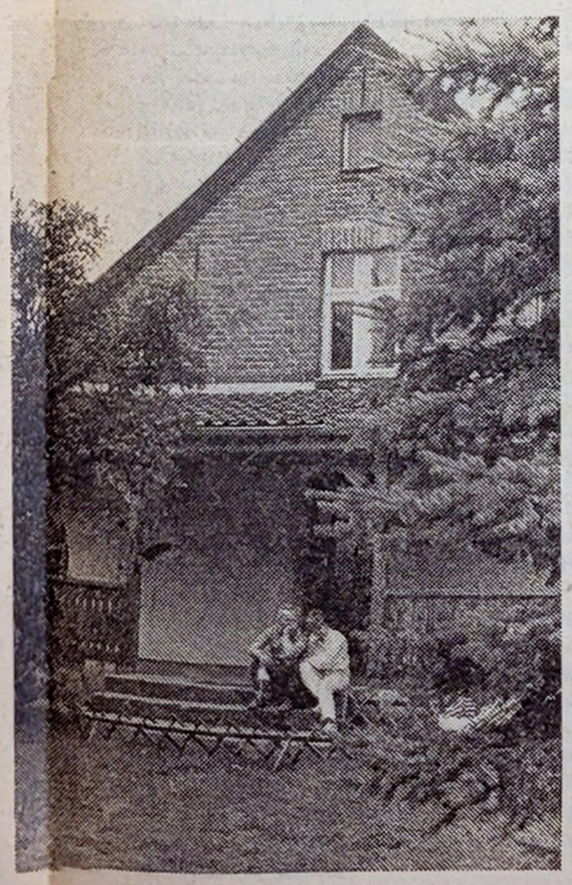

Z TYŁU SKLEPU

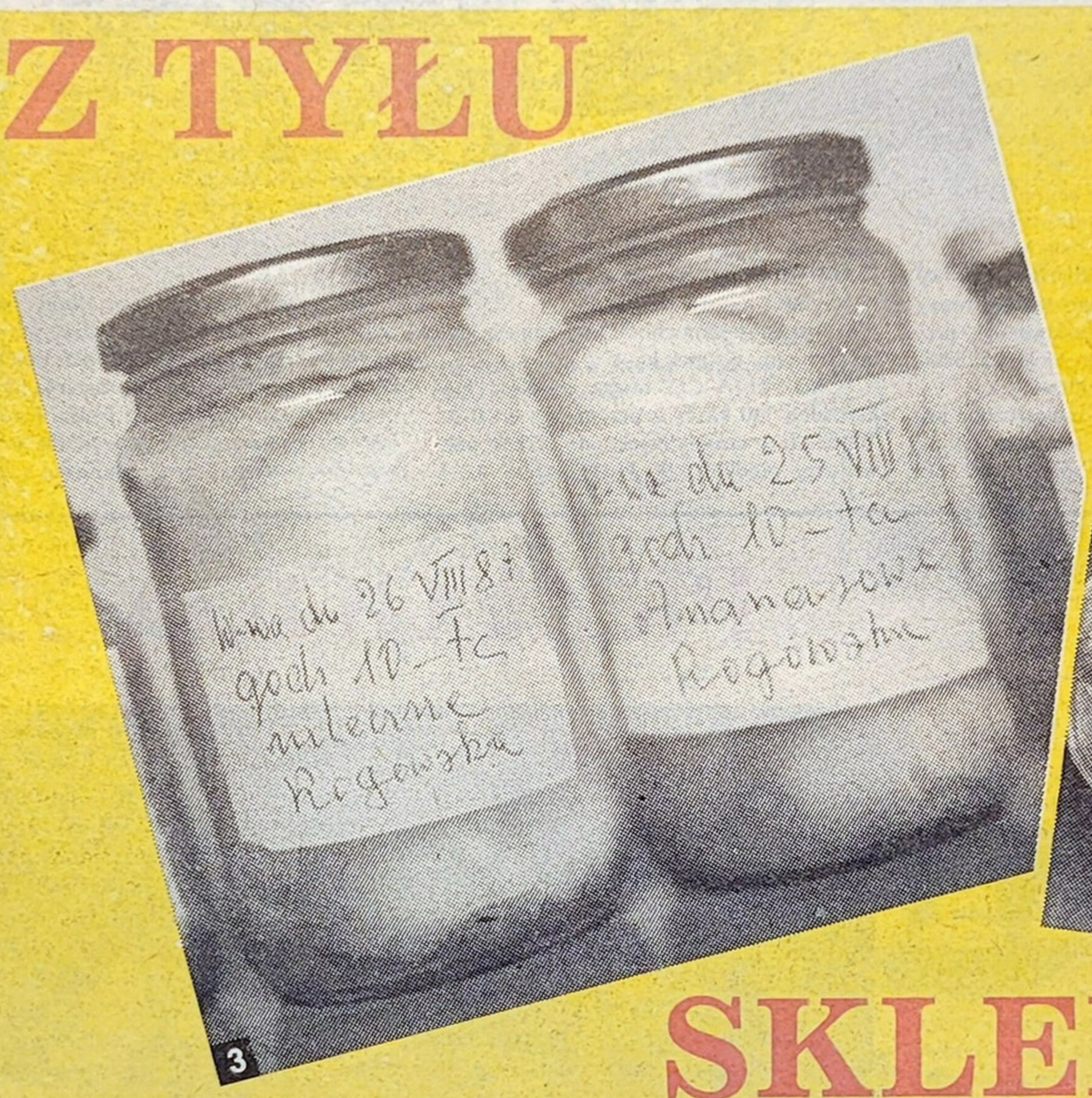

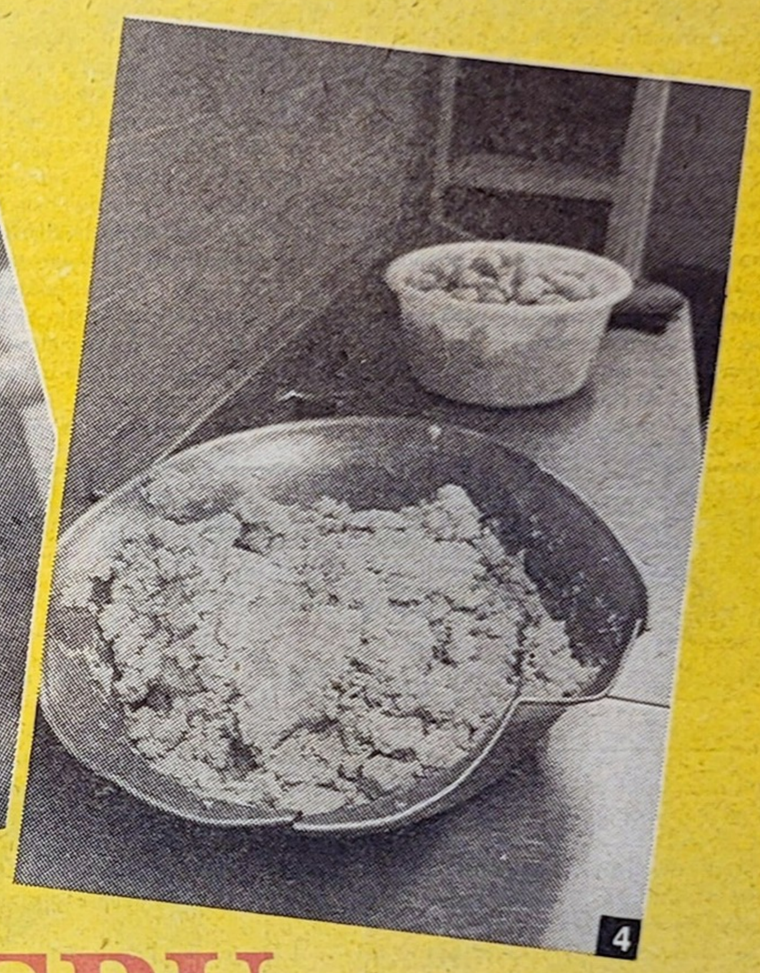

Tak chyba brzmiał tytuł kabaretowego przedstawienia w wykonaniu dwóch prześmiewców z Poznania: Zenona Laskowika i Bogusława Smolenia. Tył tamtego „sklepu" rozśmieszył mnie aż do bólu mięśni brzucha. Jako klientka często wychodzę z prawdziwego sklepu (z tej strony lady) też z bólem brzucha, ale tym razem od samego patrzenia na sposób przechowywania i sprzedawania żywności. Parę deka wafelków wkładanych przez sprzedawczynię palcami (choć przecież dawno wynaleziono szczypce i szufelki) rośnie w ustach. Może panie sprzedawczynie nie znają zasad higieny? Oczywiście wiele z nich trafia do handlu (ciężka to praca, na pewno) przypadkowo, ale każda z nich zna „sanitarne minimum", o co dbają Stacje Sanitarno-Epidemiologiczne organizując szkolenia. Efekty są małe!

— **Niuńka kochana, niech pani choć nie pisze, że fartuch brudny!** — błaga kierowniczka sklepu spożywczego przy ulicy Wileńskiej.

„Niuńka" nie słyszy pieszczotliwych słów. Inspektor SANEPID Praga-Północ, lek. weterynarii Barbara Łosiakowska, wpisuje uwagi do kontrolnego kajetu. Leci mandat. Niewiele on wprawdzie wynosi, bo co to za kara za brud i niechlujstwo? Nie chodzi o ten wyszmelcowany fartuch i bałagan, ale o to, że w stoisku z „garmażerką" są sprzedawane kurczaki (salmonella!), co jest sprzeczne z przepisami sanitarnymi, a w chłodziarce galaretka z nóżek również sąsiaduje z owymi nieszczęsnymi kurczętami! Surowy, nie zapakowany w folię drób nie może się stykać z produktami przeznaczonymi do bezpośredniej konsumpcji. Kierowniczka sklepu biadoli: *„tylko jedna lodówka, a cos przecież trzeba sprzedawać"*. To fakt... Mandat uiszczony. Wychodzimy, ale galaretka zostaje — myślę sobie po cichutku. Drżyjcie klienci...

Kilkadziesiąt kroków dalej wpadamy do następnego sklepu spożywczego. Jednoosobowa obsługa, bo reszta „na chorobie"; miła kobieta. Najpierw ktoś kupuje chleb, potem prosi o jajka. Sprzedawczyni pakuje je do torebki, potem jeszcze kroi żółty ser, pieniążki wędrują do szuflady. I znów chleb, i znowu papierek — bilecik Narodowego Banku Polskiego. Ileż zarazków na tym banknocie! No i co ma zrobić pani inspektor z Sanepidu? Poucza tylko, że przecież jajka powinny być już popakowane w torebki, ale co do pieniędzy, to nawet nic nie mówi. Na skorupkach jajek — salmonella, na ciężko zarobionych pieniądzach — może gronkowiec... Może przyjechały na przykład z Białegostoku, gdzie czerwonka położyła parę setek ludzi do szpitalnych łóżek? Nie ma się z czego śmiać! Ale co — zamknąć sklep, wydłużyć kolejki do innych w sąsiedztwie?

Chyba dla polepszenia nastroju wchodzimy do „Prażanki" przy ulicy Ząbkowskiej. Ładnie wyeksponowane artykuły spożywcze, kilka stoisk, ekspedientki w czystych, kolorowych fartuszkach. Z tyłu sklepu, żeby trzymać się tytułu — ciasno. Paki z cukrem, idziemy wąskim tunelem do pokoju kierowniczki. Jak tu porządnie na tym zapleczu! Kierowniczka właśnie przyjęła dostawę garmażerki (no proszę, nawet konwojent ma bieluteńki fartuch!). Pracuje w handlu od 22 lat. Sklepowy magazyn zawsze był niewygodny. Jaka więc okazja, by zwalić „na warunki". A tymczasem ład i czystość. Brawo dla pani **Wandy Gniadek!** Nie dziwię się, że od 1985 roku „Prażanka" ma tytuł „sklepu wzorcowego". Może by tak kierowniczkę z Wileńskiej zaprosić tu na małą poglądową pogadankę? Et, marzenia.

Teraz na trasie mamy maleńką i ciaśniutką rzemieślniczą lodziarnię. Funkcjonuje od 54 roku, żadne mandaty nie były potrzebne. Właścicielka, **Cecylia Rogowska,** nie wpada w popłoch, gdy słyszy słowa: kontrola sanitarna. Wszystko lśni czystością. Nawet szalki staroświeckiej wagi jaśnieją wypolerowane jak złoto. Próbki każdego gatunku lodów — tak jak każą przepisy — przetrzymywane są w zamrażarce przez 48 godzin. Na każdym słoiczku etykietka z datą produkcji.

Bardzo pouczający spacer... Każdy sklep spożywczy jest kontrolowany przynajmniej 4 razy w roku. Garmażernie i mleczarnie 6 razy. Jest źle: złe warunki lokalowe, i to wielkie niedbalstwo! Mandaty się sypią, ale co za sprawa — dwa tysiące złotych? Ukarani odbiją sobie na klientach. Tak nietrudno jest niedoważyć po parę deka...

Myślę, że inspekcje powinny odbywać się częściej. Gra idzie o zdrowie. Może nawet nie lęk przed zapłaceniem mandatu, ale wstyd, że się uchodzi za brudasa-truciciela jest ważniejszy? No i klienci powinni być bardziej wymagający...

Marzenia mam na początek bardzo maleńkie. Otóż na przykład w Poznaniu sprzedawczynie nie kładą pieczywa „byle gdzie", czyli na ladę, na której przed chwileczką leżały pełne zarazków banknoty czy stały butelki, lecz do specjalnie w tym celu przeznaczonych koszyczków. Jakże miło, gdy chleb wyjmuję z koszyczka a nie wycieram nim sklepowego kontuaru.

Brud, który nas otacza, choroby brudnych rąk, które nas atakują, są do pokonania bez użycia specjalnych urządzeń, komputerów itp. Musimy buntować się przeciwko brudowi, bo gdy się zupełnie już z nim pogodzimy i zżyjemy, to żadna Stacja Sanitarno-Epidemiologiczna nie pomoże, bo i... inspektorzy przyzwyczają się do brudu.

A. GRZYBOWIECKA
Fot. **M. Szymański**

Na zdjęciach:
1. Chleb, brudne pieniądze — czy kogoś z klientów razi taka forma sprzedaży? Wydaje się, że jesteśmy niezwykle odporni na bakterie. Czyżby? 2. Przykry moment — leci mandat, nic nie pomogą pieszczotliwe słowa: „Niunia kochana". 3. Próbki lodów powinny być przechowywane przez 48 godzin. 4. Taka micha z ziemniakami może nakarmić wielu konsumentów baru mlecznego, ale ta micha właśnie nie nadaje się do użytku

ŚWIAT NA CZTERECH KÓŁKACH

FORD FIESTA CTX

Pod tym określeniem marki i typu samochodu kryje się pojazd wyposażony w automatyczną skrzynię biegów nowego typu. Cechuje się ona małymi wymiarami gabarytowymi i dlatego może być stosowana w samochodach małolitrażowych.

Od wielu lat trwały poszukiwania mające na celu znalezienie znacznie prostszego rozwiązania automatycznej skrzyni biegów. I właśnie po raz pierwszy zastosowano to rozwiązanie w samochodzie FORD FIESTA CTX, a stało się to za przyczyną pokazanego na zdjęciu nr 1 paska trapezowego (klinowego), którego żywotność wystarcza na cały okres eksploatacji samochodu!

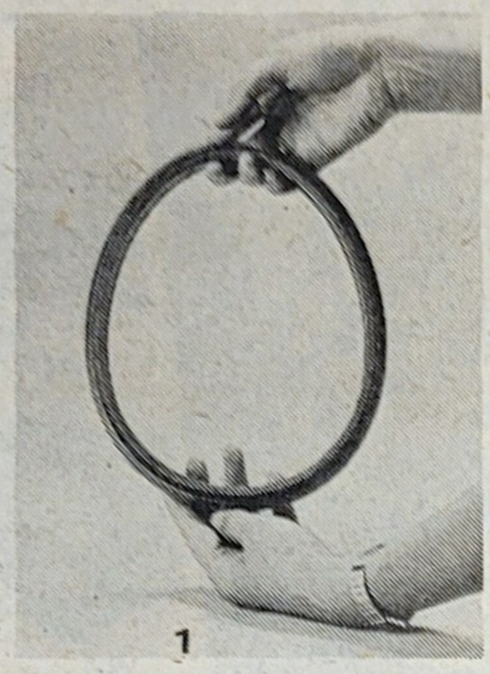
1

Pasek ten to szereg trapezowych pierścionków stalowych (A) wmontowanych w zamknięte taśmy stalowe (B). Budowa jego przedstawiona została na rysunku 2.

Automatyczne skrzynie biegów z paskami klinowymi były produkowane od wielu lat i stosowano je między innymi w holenderskich samochodach marki DAF. Lecz duża zawodność tych samochodów związana była z małą wytrzymałością i nieprecyzyjnym działaniem w określonych warunkach pasków klinowych wykonanych w głównej mierze z gumy.

Zasada działania z zastosowaniem paska klinowego-trapezowego w skrzyni biegów jest bardzo prosta i polega na tym, że pasek ten napięty jest na dwa koła pasowe, za pośrednictwem których przekazywane są obroty od silnika na mechanizmy układu przeniesienia napędu. Przenosi on cały zakres obrotów jaki jest realizowany w mechanicznych skrzyniach biegów posiadających np. od 3 do 5 zębatych przełożeń.

Pomimo tego, że zasada działania skrzyni biegów z paskiem trapezowym jest prosta, to jednak konstrukcja jej wymaga zastosowania wielu skomplikowanych mechanizmów, jak np. siłowniki hydrauliczne, które regulują napięcie paska i właściwe jego położenie na kołach pasowych w zależności od obrotów silnika. W tym też celu koła pasowe są dwuczęściowe i wówczas, kiedy obydwie ich połowy zbliżają się do siebie pasek pracuje na większej średnicy, a kiedy oddalają pasek znajduje się w pozycji mniejszej średnicy. Konstrukcję takiej skrzyni biegów przedstawia rysunek 3.

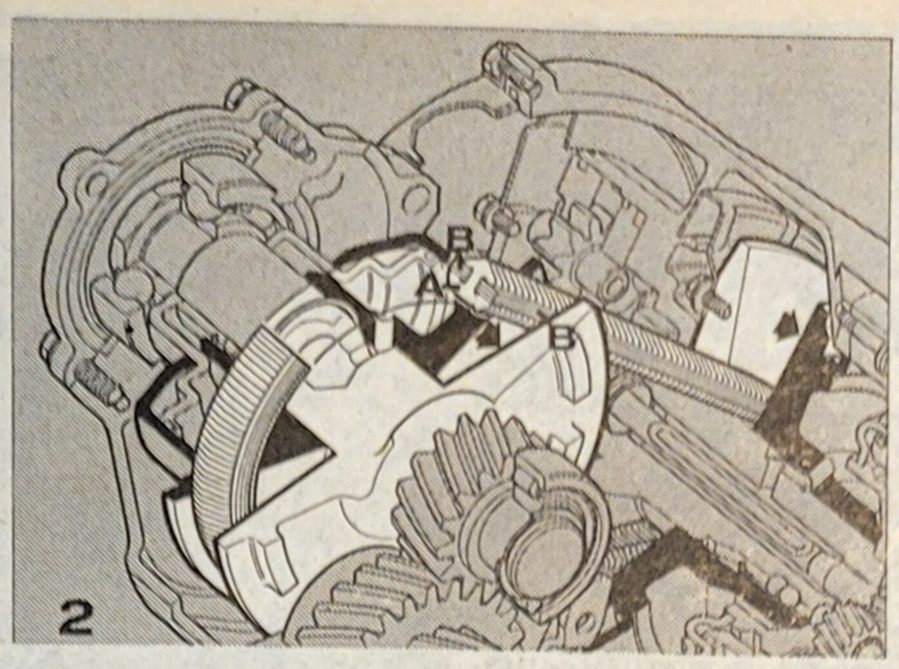

2

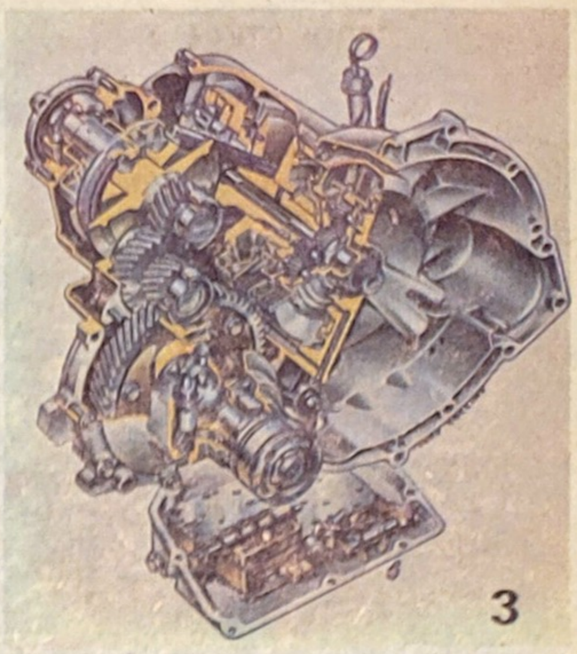
3

A teraz kilka danych o samochodzie, w którym po raz pierwszy wprowadzono ten typ automatycznej skrzyni biegów.

FORD FIESTA CTX posiada 4-cylindrowy silnik o pojemności 1117 cm sześc. i mocy 37 kW (50 KM) uzyskiwanej przy 5000 obr/min. i stopniu sprężania 9,5. Silnik posiada liniowy układ cylindrów.

Ta jednostka napędowa umieszczona jest z przodu, poprzecznie w stosunku do osi podłużnej samochodu, a napęd od niej przenoszony jest na koła przednie za pośrednictwem opisanej, automatycznej skrzyni biegów.

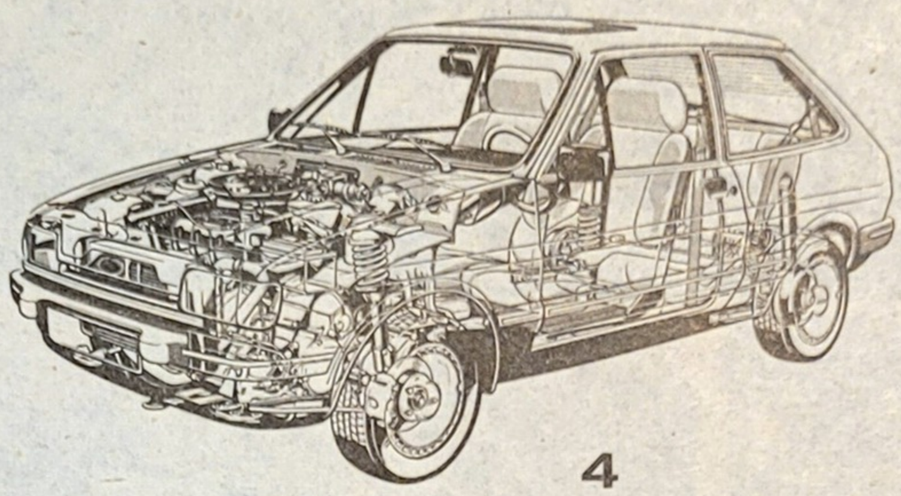
4

Konstrukcję samochodu przedstawia jego anatomiczny rysunek (nr 4).

FORD FIESTA CTX osiąga prędkość maksymalną 140 km/h, a przyśpiesza od 0 do 100 km/h w czasie 18 sekund. Zużycie paliwa przy prędkości 90 km/h wynosi 4,8 l, przy prędkości 120 km/h — 6,9 l, w jeździe miejskiej 7,2 l.

Następnym samochodem, który został wyposażony w ten nowy rodzaj automatycznej skrzyni biegów jest FIAT UNO SELECTA; zastosowano w nim skrzynię biegów produkowaną w zakładach Forda. Ford będzie też dostawcą tych skrzyń dla innych wytwórni, które zechcą wyposażać swe samochody w tego typu automatyczne skrzynie biegów.

KĄCIK PRZYJACIÓŁ MOTORYZACJI

Artur MIEDZIAREK, ul. Buczka 16, 62-050 MOSINA, zajmuje się zbieraniem katalogów, prospektów i książek związanych z samochodami, pragnie nawiązać korenspondencję z osobami interesującymi się motoryzacją.

Jacek ŚMISTEK, ul. Krótka 12, 32-830 WOJNICZ, za prospekty firm Honda, Toyota lub Mazda — oferuje prospekty firmy Chrysler, wycinki ze sławnymi piłkarzami oraz naklejki firmy Esso z Hamburga.

Marek CZARNECKI, ul. Wieniawskiego 16e/7, 77-150 DARŁOWO, poszukuje prospektów następujących firm: Volvo, Lancia, Honda, Mazda, Porshe, Opel — w zamian oferuje prospekty miast nadbałtyckich.

Tomasz KWAŚNIEWSKI, Rzadkwin, 88-320 STRZELNO, odstąpi prospekt Volvo, książeczkę „Burago" oraz książkę „Sam obsługuję motocykl Jawa i CZ".

Czesław KAUL, ul. Kraszewskiego 37, GOLASOWICE, poszukuje adresów zagranicznych firm samochodowych oraz prospektów: Citroena, Opla, Mazdy, Mercedesa, Renaulta i Lanci.

ZENON DUTKIEWICZ

KLUB PTAKOLUBÓW Świata Młodych

Czy wychowane przez ludzi pisklę może powrócić do natury?

PRZYGODA Z FILIPEM

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

ten od razu siada na nieznanej sobie, dopiero co przybyłej do jego „włości" ludzkiej istocie.

Drugim powodem do zdziwienia był dla mnie wygląd ptaka. Wróble — to znane kominowo-rynnowe wycieruchy, prezentujące się w związku z tym nieraz wprost fatalnie. Tym bardziej lichego wyglądu spodziewałem się po młodziku, przechodzącym kolejne zmiany upierzenia. Tymczasem ujrzałem ptaka o nader harmonijnym stroju, bez plam i „niejasno sformułowanych" piórek. Jego szata nie pozwalała jeszcze na rozpoznanie płci, ale to nie przeszkodziło pani Annie i Magdzie nadać pierzastemu współmieszkańcowi imienia — Filip.

Ujrzałem więc Filipa eleganckiego,

o pięknym i czystym upierzeniu. To on (a ściślej — jego skrzydła) był sprawcą owych przeciągów, które hulały po mieszkaniu nawet w chwili, gdy drzwi i okna były szczelnie zamknięte...

Zarówno pani Anna, jak i Magda z miejsca zakochały się w Filipie bez pamięci. Sam docent Luniak, mający na co dzień, w życiu zawodowym do czynienia z ptakami, tego niezwykłego gościa potraktował w inny sposób, niż obiekty swych normalnych badań; jako swego rodzaju zwierzę domowe. Nie dręczył się więc badawczymi pytaniami, natomiast głowił się, jak tego ptaka przywrócić naturze.

Próbował wypuścić go na wolność. Ale, cóż... Ptak wyleciał przez balkonowe drzwi, usiadł na gałęzi rosnącego na podwórku orzecha, no i... Tu zainteresował się nim inny dziki wróbel, usiadł obok, wydał głos typowy dla wróblego rodu, po czym — jakby nie mogąc się dogadać z przedstawicielem swego gatunku; po półgodzinie, kiedy to Pani Anna i Magda całkiem zrozpaczone, wypatrywały rychłego powrotu ulubionej istoty — naraz rzucił się ku otwartemu oknu i wrócił do mieszkania! Ono więc okazało się dlań właściwym środowiskiem, bez którego jak gdyby nie umiał żyć...

Jedną ze znamiennych, na oko (i ucho) dziwnych własności Filipa było to, że... nie ćwierkał. Zwyczajne, podwórkowe wróble są na ogół bardzo hałaśliwe. On — przeciwnie. Nie wydał głosu ani razu w czasie, kiedy go pod dachem pp. Luniaków oglądałem. Zastanawiająca „niemota"!

I kolejna — przynajmniej na pozór — osobliwość. Oto ten wróbel niczego smacznego do zjedzenia nie chce wziąć z podłogi — je tylko z ręki! Jakże to jest sprzeczne z obserwacjami innych przebywających w mieście ptaków. Zimą, gdy chłody, albo i mrozy przycisną, zimujące w parkach sikory garną się do człowieka, o ile ten przyniósł jakiś pokarm. Siadają nie tylko na jego wyciągniętych dłoniach, ale w ogóle traktują go jako drzewo pełne obfitości. Wróble zaś nigdy na wyciągniętej dłoni nie siądą, natomiast pilnie zbierają resztki z ziemi i przywalającego ją śniegu.

Z Filipem — inaczej. Je wyłącznie z ręki człowieka! Czy to będą okruchy bułki i twarogu, czy też nasiona ulubionego przezeń słonecznika. Nadto — wróble jak wiadomo, bardzo chętnie się kąpią. Otóż nasz Filip początkowo wody unikał jak... ognia, kąpiąc się w... fałdach ubiorów swych opiekunów.

W ogóle zachowanie się wróbla zależne było od miejsca, w którym przebywał. Jego rewir stanowił pokój w którym mieszka doc. Luniak. Tu, w kieszeni specjalnie powieszonego fartucha, miał swą sypialnię, zaś wysoko ponad firanką zawieszony plastikowy nocniczek — był domem mieszkalnym. Znamienne, że właśnie w sąsiedztwie tym, swoich „domostw" ten skądinąd ufny wróbel stawał się... nieufny. Zaś w sąsiednich pokojach pozwalał sobie, ile wlezie.

Fascynowała go więc szklana kulka. Tak bardzo chętnie zabawiał się nią, chwytając ją w dziób i znów upuszczając, że pani Anna nazwała go wróblem — „futbolistą". W ogóle to wiele wskazywało, że ów wróbel za najbliższych przyjaciół uważa właśnie ludzi. Ten fakt zaniepokoił doc. Luniaka, który postanowił znaleźć dla tego ptasiego podlotka odpowiednie towarzystwo.

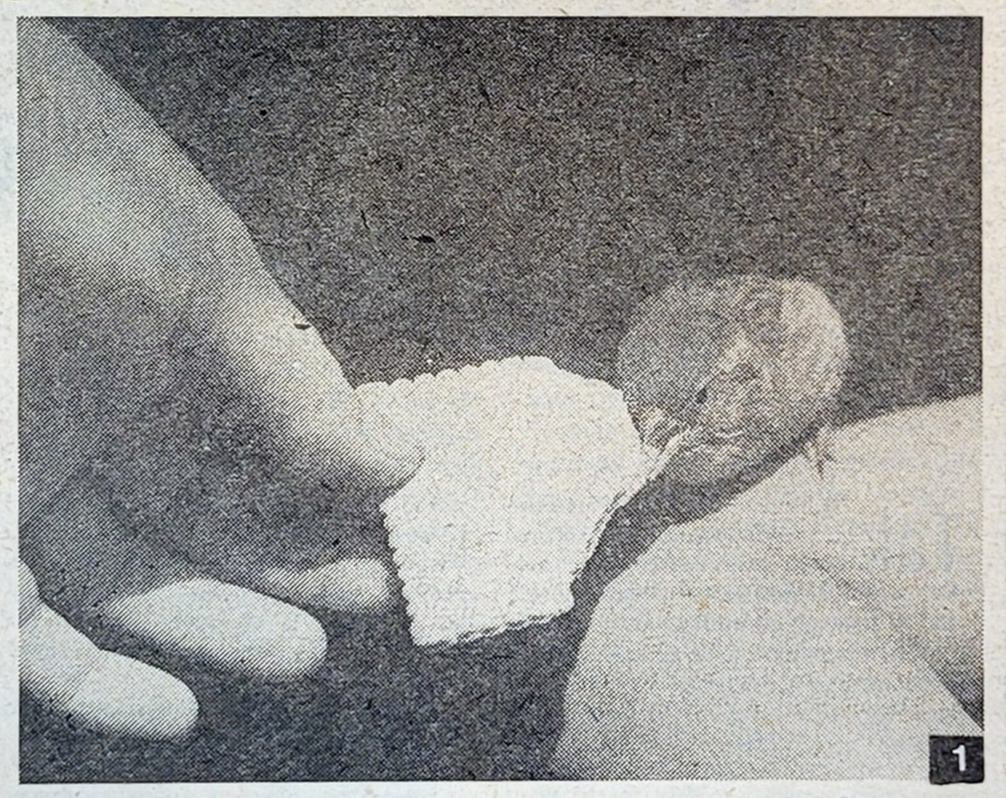
1

2

Nie od dziś takimi właśnie ptakami zajmują się: Jerzy Desselberger i Krystyna Rogaczewska. Żyjąc od lat pod jednym dachem z ptakami, mają wielkie, wprost nieocenione doświadczenie jako ptasi opiekunowie, działający zresztą w ramach Straży Ochrony Przyrody. Im to przekazywane są wszelkie, przypadkiem znalezione, czy też odebrane przez SOP ptasznikom skrzydlate sieroty. Obecnie pod ich dachem przebywa ponad 50 ptaków — w tym kilka wróbli. Znakomite towarzystwo dla Filipa!

Jerzy Desselberger przyjął wróblego młodzika

i rozpoczął zabiegi wychowawcze. Orzekł przy tym, że Filip nie będzie mógł wrócić na wolność. Ptaki, wychowane od pisklęcia przez człowieka ulegają bowiem — jak mówią etolodzy — „przeadresowaniu", za przedstawicieli swego gatunku uważają ludzi, natomiast swych prawdziwych pobratymców za obce istoty. U Filipa — który koniec końców okazał się... samiczką! — to „przeadresowanie", jest zdaniem jego nowego opiekuna, niepełne. To pozwoliło mu nawiązać kontakty z innymi wróblami p. Desselbergera, stać się prawowitym członkiem stadka. Ale zarazem jest na tyle związany ze środowiskiem ludzkiego mieszkania, z podawanym przez ludzi pokarmem (jedzenie tylko z ręki, którego zresztą stopniowo się oducza), że w naturze nie dałby sobie rady. Świadczy o tym choćby i fakt, że wtedy, jeszcze u państwa Luniaków, wypuszczony na dwór, zaraz umknął do domu.

Zatem — mówi Jerzy Desselberger — ptak ten jest skazany na „dożywocie" pod dachem człowieka. Ale też oznacza to szansę przeżycia wielu lat. W naturze ptak wielkości wróbla przeżywa średnio 1–3 lata, w niewoli może się stać nawet 20-latkiem! Jeżeli jest odpowiednio traktowany, takie uwięzienie nie jest dlań cierpieniem. Wszakże ptakom nie są znane tak abstrakcyjne pojęcia, jak wolność...

Tekst i zdjęcia:
TOMASZ KŁOSOWSKI

1. Najchętniej bierze pokarm wprost z ręki
2. Lubi pestki słonecznika i doskonale radzi sobie z ich rozłupywaniem

ZESPÓŁ SZKÓŁ ZAWODOWYCH NR 3
MGiE w Bytomiu, ul. Bieruta 120, tel. 81-24-25
ogłasza zapisy

dla absolwentów Szkół Podstawowych na rok szkolny 1987/88 do Zasadniczej Szkoły Górniczej KWK „Dymitrow" ul. J. Psoty

w specjalnościach:

— górnik kopalni węgla kamiennego,
— mechanik maszyn i urządzeń górnictwa podziemnego,
— elektromonter górnictwa podziemnego.

WARUNKI PRZYJĘCIA:

1. Ukończenie 15 lat, a nie przekroczony 18 rok życia.
2. Ukończenie szkoły podstawowej.
3. Złożenie podania, umowy zawartej z kopalnią oraz świadectwa szkolnego po zakończeniu roku szkolnego.
4. Dobry stan zdrowia, orzeczony przez lekarza szkolnego.

Prowadzimy również dwuletnią Szkołę Przysposabiającą do Zawodu o specjalności „górnik kopalni węgla kamiennego". Warunkiem przyjęcia jest ukończony 16 rok życia, a nie przekroczony 18 rok oraz ukończenie co najmniej 6 klas szkoły podstawowej. Kopalnia prowadząca Zasadniczą Szkołę Górniczą i Szkołę Przysposabiającą do zawodu zapewnia:

1. Pomoc materialną w wysokości:
w klasach o specjalności mechanik maszyn i urządzeń górnictwa podziemnego, elektromonter górnictwa podziemnego
kl. I 3881 zł + 50% premii
kl. II 4620 zł + 50% premii
kl. III 4712 zł + 50% premii dla uczniów odbywających zajęcia na powierzchni
kl. III 6098 zł + 50% premii dla uczniów odbywających zajęcia na dole.
Uczniowie w klasach o specjalności górnik kopalni węgla kamiennego otrzymują pomoc materialną zwiększoną o 40%. Uczniowie klas III otrzymują dodatek adaptacyjny w wysokości 700 zł na zajęciach pod ziemią i 500 zł na powierzchni. Uczniowie korzystający z zakwaterowania w internacie otrzymują dodatkowo 30% premii na wydatki osobiste. Ponadto uczniowie miejscowi otrzymują ekwiwalent pieniężny na 2 tony węgla rocznie — 660 zł.
2. Codzienny posiłek regeneracyjny (drugie śniadanie) — dla wszystkich uczniów bezpłatnie.
3. Bezpłatne umundurowanie: młodzieżowe ubranie, kurtkę ortalionową, koszule, spodnie, krawat, półbuty.
4. Bezpłatne wyposażenie w komplet podręczników, zeszytów i przyborów szkolnych.
5. Bezpłatne zakwaterowanie uczniom zamiejscowym w internacie.
6. Wczasy śródroczne.
7. Absolwentom Zasadniczej Szkoły Górniczej zapewniamy naukę w 3-letnim Technikum Górniczym dla Pracujących, które istnieje w tutejszej szkole.

(K-43)

Autorem mego portretu jest Krzysztof Kołodziejczyk — członek Rzepklubu.

Redaguje WŁODZIMIERZ LEWIŃSKI

Cześć!

Piszą do mnie nowi, niezorientowani Czytelnicy: *co to jest Rzepklub? Jakie są warunki przyjęcia? Jaki adres?*

RZEPKLUB — klub Rzepa, czyli mój. Warunkiem przyjęcia jest przysłanie mi czegoś, co mnie rozśmieszy. Najchętniej przyjmuję do klubu tych, co rozśmieszą mnie własnym pomysłem.

Adres Rzepklubu ten sam, co „Świata Młodych". Czytam wszystkie listy!

Do zobaczenia!

Wasz **Rzep**

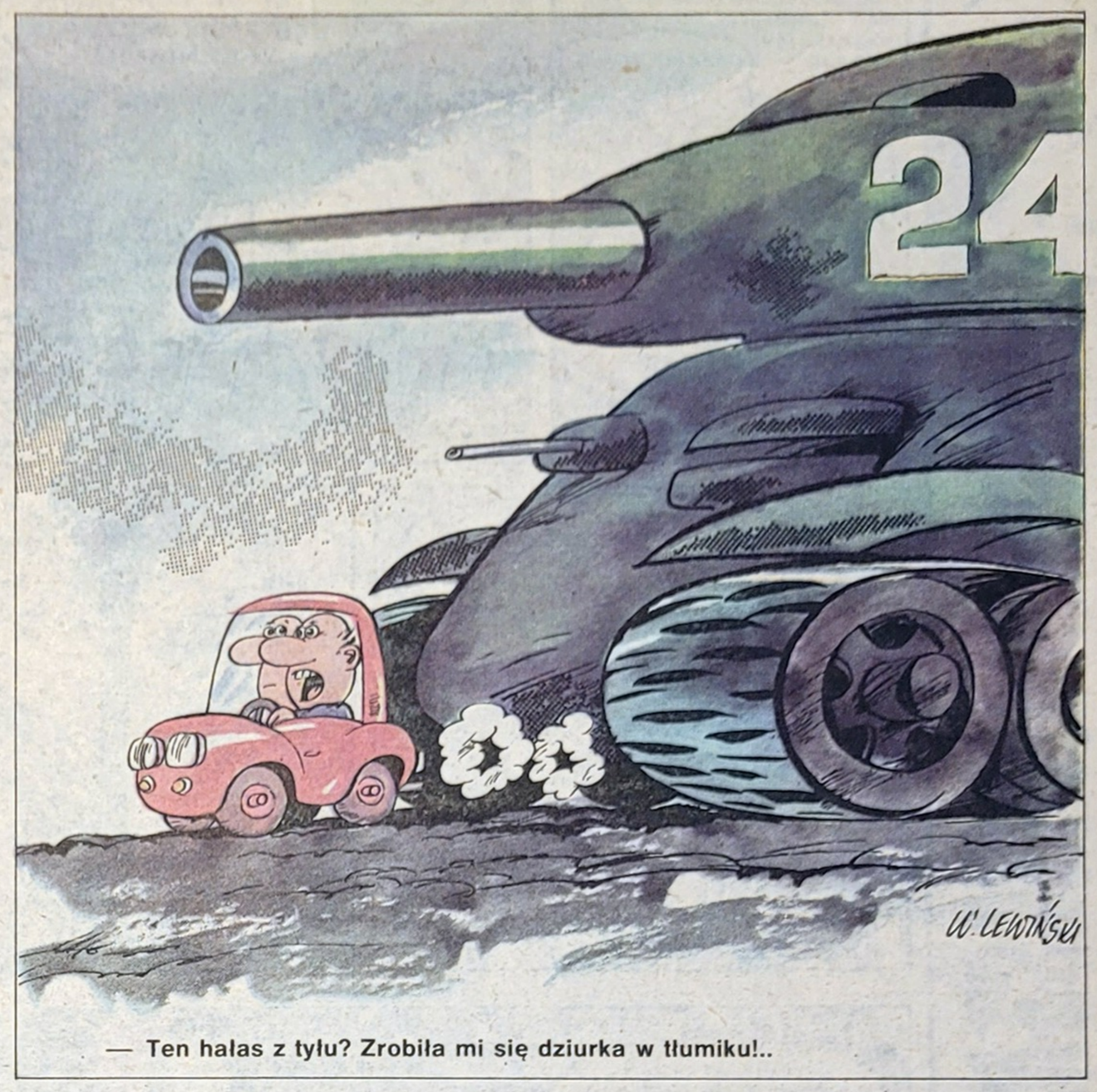

— Ten hałas z tyłu? Zrobiła mi się dziurka w tłumiku!..

RZEPKLUB

Żarty wyszperała **Diana Grabowska**, członkini klubu.

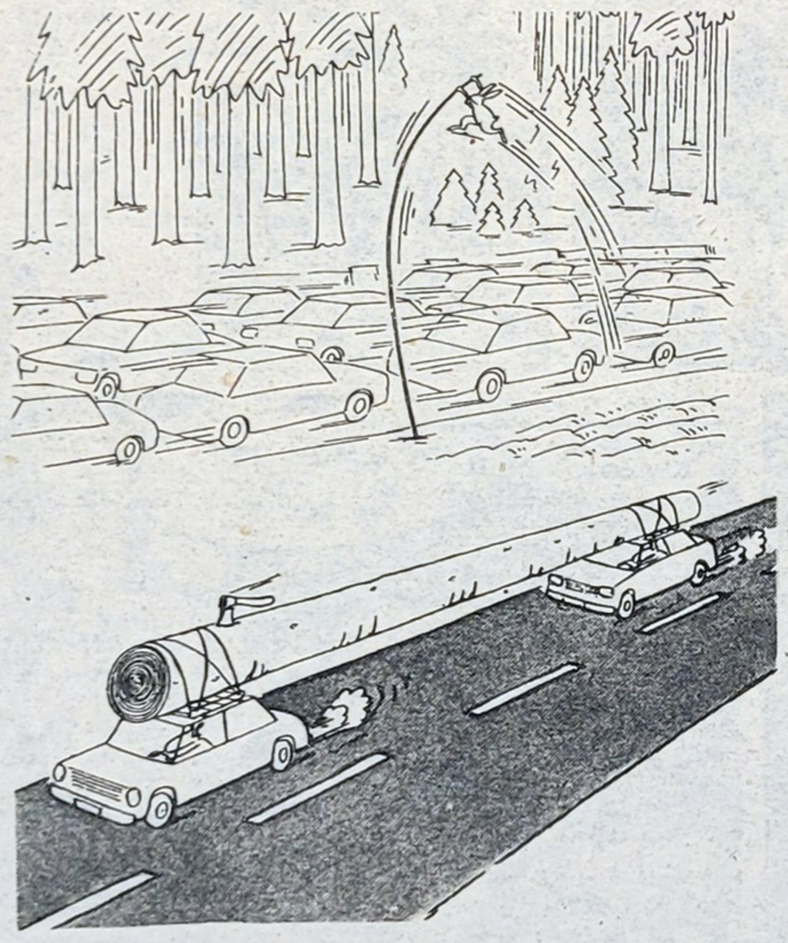

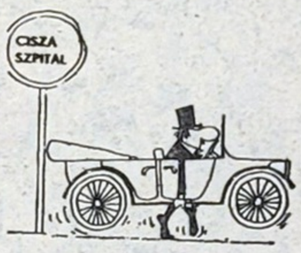

NOWE PAPIEROSY!

Zaprojektował **Piotr Korbiel**, którego zapisuję do Rzepklubu.

— No, tak. Dobranoc, dobranoc — szepnęła Fela. — A teraz jeszcze — myślała — trzeba ukołysać biedną Celinkę. Ach, ona jeszcze nie ochłonęła po tej historii z Marzeną!

Dobre dziecko z tej Feli — myślała w tym czasie Celina. — Owszem, przyzwoita dziewczynka, tylko taka jakaś trochę zamknięta. Nie jest piękna, ale może.. Nie. Adasiowi jest potrzebna dziewczyna efektowna, reprezentacyjna. Może to szkoda, że nie widziałam tej Marzeny? Może Adam nie umiał z nią postępować? Może by się dziewczynę jakoś wychowało, utemperowało, bo ja wiem... Bo przecież jeśli szukała kariery... — Celina drgnęła, bo właśnie w tej chwili zadzwonił telefon.

Telefon odebrała Fela. To dzwonił Gucio, który od razu zwalił jej na głowę całą masę spraw, zupełnie jak gdyby Fela nie miała już na tej głowie małoletniego Adama, dorosłego Adasia ze stroskaną matką, obrażonej pani dozorcowej, zakupów, gotowania i wreszcie wiszącego nad tą głową niewiadomego wyników egzaminów.

— Czy to trochę nie za dobrze... — mruknęła odkładając słuchawkę.

— Co, co się stało? — zaniepokoiła się Celina. — Doprawdy, jak nie ma Malinki, to ten Gucio traci głowę! Znowu ktoś się rozbił na szosie? — zapytała, jakby zbieranie z szosy ofiar wypadków należało do ulubionych rozrywek Gucia.

— Nie. Raczej wszystko okay. Znalazła się rodzina, ale nie ojciec, tylko matka. I nie dziewczyny, tylko chłopca. No, jednym słowem Gucio chce, żebym rano tam wpadła, bo on ma jutro trudny dzień na swoim oddziale, a ktoś musi się zająć Lucynką i tą nie jej mamą! Na szczęście wrócił już ten ortopeda, na którego czekali...

— No dobrze... — powiedziała z wyrzutem Celina — to wszystko ładnie, będziesz tam uspokajała, tłumaczyła i zabawiała, wciągną cię w te wszystkie sprawy — a Adaś? A ja?

— Zrobi się! — powiedziała z przekonaniem Fela, choć w głębi duszy wcale nie była taka pewna. Trochę tu było za dużo tego dobrego. — Wie pani co? Zjemy spokojnie kolację, pani się położy, a ja skoczę na chwilę do Konstancji. No, bo co u diabła? Ona też ma swój udział w tym spektaklu...

— Ty masz głowę, Feluniu — powiedziała z zachwytem Celina. — Kocia jest taka zaradna, taka energiczna, tak umie sobie radzić z ludźmi... — urwała nagle, bo uprzytomniła sobie, że wynosząc tak pod niebiosa talenty Konstancji — jednocześnie stwierdza ich brak u Feli. A poza tym... poza tym, czy nie są to czasem te cnoty, które tak bardzo przydałyby się dziewczynie Adama? Więc zamilkła pełna rozterki.

Fela tymczasem bez cienia rozterki twardo żądała od Konstancji zastąpienia jej w szpitalu.

— Nie wiem, co nasz Gucio sobie wyobraża, ale na pewno chce przerzucić na mnie część scen rodzinnych. A to jest po prostu niemożliwe! I już! — dodała dla wszelkiej pewności. — Muszę przecież zajmować się domem, trochę ułatwić życie Celinie, nie mogę zrzucać jej małego na kark, bo ona naprawdę jeszcze nie powinna nic robić. No, nie powinna. I jeszcze ta piekielna Sabinka! Sabinka pięć razy dziennie dzwoni do drzwi i ględzi. A mały? Małego nie wezmę do szpitala, bo to idiotyzm ciągać dzieciaka między chorych, a Celinie go nie zostawię, to sama rozumiesz!

— Uspokój się! Rozumiem. Pójdę. Nawet dobrze się składa, bo to jeszcze pięć dni.

— Co ci się składa? Jakie pięć dni?

— Stuknij się! Pięć dni do wywieszenia listy „zdanych". I te całe pięć dni będę zajęta charytatywnie! Będę pocieszać, uspokajać, tłumaczyć i zażegnywać! Gucio będzie swobodny jak ptaszek. Nie dopuszczę tej wspaniałej mamy do bezbronnej Lucynki. Chyba, że znajdzie się jej lekkomyślny tatuś — wtedy będę resorem między tatusiem a mamą...

— Nie pleć!

— Dlaczego? Przecież tego chyba Gucio po mnie oczekuje. Zresztą mniejsza o to. Nie bój się, jakoś postaram się uładzić ten cały niewesoły bałagan. Nie — dodała spoglądając nagle na Felę — nie myśl, że jestem taka idiotka.

Cdn.

Bilbo Western i... w kosmosie

26

TEKST I RYS. Jerzy Wiślewski

ŚWIAT MŁODYCH
Ilustrowana Gazeta Nastolatków

UKAZUJE SIĘ OD 1949 R.
Nr 114 (4355)
Wychodzi:
wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137—3214

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-94-57, telex 0315569).
REDAGUJE KOLEGIUM: **Redaktor naczelny** Stanisław Borowiecki tel. 21-15-61, z-cy red. nacz. Ewa Drobnik i Wanda Kobylecka tel. 29-21-42; **Sekretarz redakcji** Wojciech Wróblewski, z-cy sekr. red. Grażyna Szroeder-Bukowska i Lidia Wojciewska tel. 28-25-48; **Kierownicy działów:** Jerzy Dąbrowski (dz. nauki i techniki tel. 28-77-21), Maria Jaworska (dz. szkolno-harcerski tel. 21-47-06), Teresa Maciszewska (dz. kulturalno-literacki tel. 28-77-21), Jan Orgelbrand (dz. krajowy tel. 28-56-18), Zdzisław Przybyłowski (dz. sportowy tel. 21-98-28), Barbara Skórska (dz. listów i łączności z czytelnikami tel. 21-81-13), Fotoreporterzy tel. 21-98-28. TELEX 81-36-58
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
Ogłoszenia przyjmuje Redakcja Wydawnictw Poradniczych i Reklamy al. Stanów Zjednoczonych 53, 04-028 Warszawa, tel. 13-20-40 do 49 wewn. 403. Cena ogłoszeń: 350 zł za 1 cm², 150 zł za jedno słowo w ogłoszeniach drobnych.
Wpłaty za ogłoszenia od osób fizycznych przyjmowane są na konto: NBP XV OM Warszawa nr 1153-201478-139-11. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch", Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 04-028 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21.
Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.
Opracowanie graficzne: Magdalena Piotrowska
Opracowanie techniczne: Grażyna Klechniowska
Korekta: Barbara Boguszewska

Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego"
Zam. 3146/G/87. K-99
Nakład 439 000 egz.

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

UŚMIECH NUMERU

ŻONA LATARNIKA przegląda po obiedzie swój ulubiony tygodnik. W pewnym momencie woła uradowana do męża:

— Kochanie, wygraliśmy pierwszą nagrodę w konkursie...!

— Znakomicie! — cieszy się latarnik. — I co to będzie?!

— Dwutygodniowe wczasy nad morzem...

21

ODPOWIEDNIA DZIEWCZYNA

Maria Krüger

— My tu sobie gadu, gadu, a pani powinna pogadać z tą małą, uspokoić ją, że z małym wszystko dobrze, zastanowić się, czy nie mogłaby się przenieść do hotelu, do tego zarezerwowanego pokoju. Może ten tatuś się wreszcie odezwie! Co za ludzie! Ona ma i brata, dorosłego, ale on jest w górach, bez adresu. Dałem znać do Pogotowia Tatrzańskiego, żeby mu powiedzieli, gdyby go zobaczyli, żeby do mnie zadzwonił, ale dotąd nic.

Wizyta u Lucynki nie wypadła najlepiej. W pokoju były dwie chore z ciężkimi urazami i na tym tle wesołe bukiety na stoliku Lucynki wydawały się jakieś nie na miejscu. Tak samo nie na miejscu wydawał się dobrze zbudowany młody człowiek w kraciastym ubranku, rozglądający się dokoła przestraszonym wzrokiem i zapewniający niepewnym głosem, wznoszącym się do dźwięcznego barytonu, lub opadającym do niezrozumiałego szeptu o tym, jak bardzo oburzającym wydaje mu się fakt wypadku Lucynki.

— Należy wyciągnąć jak najdalej idące konsekwencje — szeptał przejmująco. — Nie może być pobłażania dla... — tu szeptem rzucił kilka zapewne brzydkich wyrazów — może pani być zupełnie spokojna, że zajmę się tym z całą energią, zwłaszcza że przecież chodzi o córkę kolegi! Wszelkimi dostępnymi mi środkami postaram się nadać sprawie bieg — tu spostrzegł nagle stojącego przy drzwiach Gucia i urwał. Zerwał się z krzesła i urwanym, ściszonym głosem zawiadomił Gucia, że właśnie zamierza, zastępując nieobecnego ojca wnieść skargę do sądu przeciwko sprawcy wypadku. — Niech pan zapewni pannę Prandotównę, że będzie miała pełną satysfakcję! Ten pijany chuligan pójdzie za kratki na ładne parę latek!

— On nie był pijany — powiedział spokojnie Gucio — za to pan jest dudek i śmierdziel. I proszę mi nie straszyć chorych.

— Nie wiem — opowiadała potem Fela pani Celinie — w jaki sposób ten facet zmył się, bo patrzyłam na Lucynkę, która zalewała się łzami. Coś niebywałego! Pierwszy raz widziałam, żeby ktoś miał tyle łez do wylania! Siedziała na łóżku zupełnie nieruchomo, jak gipsowy kotek, bo miała jeszcze na głowie jakiś taki bandaż, który wyglądał trochę jak kocie uszy. Nie spojrzała nawet na nas, tylko płakała, a właściwie nie — nie płakała, tylko nadal wylewała potoki łez.

— Najwygodniej — mruknęła Celina. — Chłopak zagrożony ciężkim kalectwem, dzieciak tuła się po obcych, a ona zalewa się łzami!

— Gdzie on się tuła po obcych! — powiedziała ze zgorszeniem Fela, patrząc na rumianego Adasia na kolanach Celiny. — A ona i tak bardzo się o niego martwi, ale Gucio ją uspokoił. Ona się po prostu cholernie boi. Nie może się pozbierać. Przecież to jeszcze absolutna szczeniara — dodała Fela z wyższością.

— Aby się tym nie przejmuj! Znam ja te bezbronne pięknotki — Celina zamyśliła się, widząc oczyma duszy wszystkie te przymilne, rozleniwione i bezmyślne wampirki, czyhające na przyzwoitych, pracowitych chłopców o wielkiej przyszłości. — A zresztą... Ma przecież ojca.

*

Fela nie dodała już nic. Wzięła małego od Celiny i zajęła się jego kolacją i kąpielą. Jej rozdrażnienie, wywołane wizytą w szpitalu rozpłynęło się nagle, kiedy spostrzegła, że mały, dziwnie dziś spokojny wodzi za nią uważnym spojrzeniem, jak kot śledzący ruchy pióra po papierze. Był tak śmiesznie poważny, że pocałowała go w piętkę, ponieważ Gucio powiedział, że to jedyny rozsądny sposób całowania małych dzieci, nie grożący im żadną infekcją. To nieoczekiwanie rozśmieszyło małego i zasnął zupełnie nagle z błogim uśmiechem.

Dokończenie na str. 7